№ 19 Warszawa, dnia 25 Kwietnia (7 Maja) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Qui resurrexit.

Wiedli Go zbiry... Tłum szedł zdaleka
I szalał... Dalėj, w czerwień wieczora
Przybrane miasto, — jak cień potwora,
Co na żer sobie ofiary czeka, —
Leżało w ciszy — błyszcząc oknami
Z zasłon jaskrawych — niby oczami
Tygrysa, który, leniąc się wstania,
Baranka tylko wzrokiem pochłania.

Barankiem iście był Ten ofiarny
Mąż w uplecionej z cierni koronie,
Co z nieskończoną boleścią w łonie,
Że prawda daje krzyż tylko czarny, —
Szedł — stokroć godzien innej korony —
Wśród zgrai łotrów teraz — ku wzgórzu,
Gdzie w krwawej mgławie z brudnego kurzu,
Tłum kruków właśnie przysiadł — zgłodzony.

Proroków, którzy głosili długo
Kłamstwo w świątyniach... faryzeuszy!...
Lud sędziów srogich o twardej duszy,
Co ponad światem trzęśli... maczugą!
Bogaczy, którzy orgiami swemi
Szerzyli bezwstyd — — niecne hetery,
Co niosły w roskosz swój śmiech nieszczery...
On tych strofował, chodząc po ziemi.

A — jako słońce co złoci puszczę —
Jak rospłoniony słońcem poranek —
Miał duszę taką... ten cny Baranek;
Ten Mistrz, wiedziony na śmierć — przez [tłuszczę!
Gubią Go męże, pełni rozpusty,
Co, święcąc niby swój sabbat Panu,
Jak wilki zbiegłe z lasów Libanu,
Krwi Jego łakną... brudnemi usty!

Kamienne skały na górskich szczytach
Zdają się płakać pokryte rosą —
Z oliwnych gajów szmery się niosą
Pod niebo, budząc noc na błękitach —
Rzeka, co szumi — i wiatr co wieje,
Zdają się szeptać groźbę na katy —
Przywiędły nawet zsmucone kwiaty...
Tylko ta jedna tłuszcza się śmieje!

Ot — padł pod ciężkim jarzma nagniotem,
Niby od wichru trzcina złamana,
Prorok, co kazał w imieniu Pana!
Co Bogiem świata ma zostać potem!
Proszące oczy wznosi ku górze,
Pyta się niemi nieba, ażali
Ono się nad Nim nic nie użali?
Nie ulży niczem Jego torturze?

Zbiry się na to tylko rozśmiały...
„Dalej go"! — woła zgraja szalona...
„Jeszcze nam gad ten po drodze skona!
„I blask sabbatu przepadnie cały!"
I wstać zmusili — nędzni — biczami,
Z bezsilonego męką człowieka...
Aż wszedł na wzgórze... kędy od wieka,
Tylko zbrodniarze wchodzili sami...

O Chryste!... czemuż Ty wstałeś wtedy,
By akt tragedyi przeciągnąć jeszcze?
Modlitwa Twoja — śmiertelne dreszcze —
Żal — ból Twój — może skarga niekiedy —
Wszystko to, wszystko, o całą chwilę
Byłoby krótsze.... i ja, syn ziemi,
Płakałbym teraz łzami lżejszemi
Nad śmiercią Twoją — na Twej mogile!

...Wyrok Golgoty się spełnił...
— Chryste!
Gdyś Ty umierał — ja wtedy stałem
Pod krzyżem Twoim, i w twarz patrzałem
Twoją — w Twe rany — i w serce czyste...
Ja w Twojem, śmiercią zbielonem oku,
Czytałem myśli, któreś miał — rzewne —
O siejbie swojej na dobro pewne,
Na polach naszych nieba pomroku!

Słyszałem także Twoje płakanie
Przed Bogiem — szept Twych warg tajemniczy,
Że może wielki kielich goryczy,
Któryś pił, lżejszym nagle się stanie!
Że może Bóg Cię na śmierci progu
Jeszcze wybawi... że Ci pozwoli
Wstać jeszcze...
„Boli!" — wołałeś — „boli!"
A Bóg — —
...*Hosanna dobremu Bogu!*

Bogumił Aspis.

W Wielki piątek 1881 r.

Bohaterki Kalidasa
i
Bohaterki Szekspira.

(Dalszy ciąg).

Oto treść dramatu:

Akt pierwszy odbywa się nad brzegami Malini; rzeki tej nie znajdzie na żadnej mappie, ale ma to być święty Ganges. Duszmanta, król Hastinapury *) ugania się w lesie za tak szybko uciekającą

*) Hastinapura „miasto słoni", stolica państwa króla Duszanta.

antylopą „iż zdaje się, że unosi się na skrzydłach nie dotykając ziemi". Duszmanta napina strzały i już ma ugodzić zwierzę upadające ze znużenia, gdy wtem przebiega dwóch pustelników i błagają króla, aby nie zabijał czarnej gazelli. Przyjaciel Indry przychyla się do tej prośby i chce nawet pozdrowić pobożnych samotników. Już miał wejść do pustelni, gdy wtem uderza go widok, który nazawsze pozostanie w jego pamięci. Staje tedy, ukryty wśród drzew; w gaju kwitnącego jasminu ujrzał trzy dziewice, zajęte ogrodniczą pracą. Mogą mieć od lat dwunastu do czternastu, a jak wiadomo, wtedy właśnie piękność Indyanek w pełnym jaśnieje blasku. Polewając kwiaty rzucają sobie żartobliwie złośliwe słówka; szczebiocą naiwnie i wesoło, szczęśliwe że żyją i są razem. Sądzą że są same, ani się domyślając, że podgląda ich gość tak znakomity. Król słucha żarcików i przypatruje się dziewczętom z niewymowną przyjemnością — nie przewidując, że przyjdzie mu to okupić utratą spokoju. Wtem naprzykrzona pszczoła chce koniecznie ukąsić w twarz Sakuntalę; towarzyszki doradzają jej żartem, aby zawezwała na pomoc Duszmanta, pod którego opieką zostają gaje pustelników. Król ukazuje się, niezdolny oprzeć się tak przyjaznej sposobności; jednak przedstawia się tylko jako wysłaniec wielkiego monarchy. Priyamwada i Anasuya witają go swobodnie, Sakuntala zamarzona stoi nieco w oddali. Towarzyszki żartują z tak nagłego jej pomieszania i opowiadają księciu, że towarzyszka ich nie jest córką pustelnika Kauva, ale że zawdzięcza życie miłości króla i wieszczki:

— Dawniej, mówiły, bogowie niepokoili się bardzo o mądrego Kacyka, zbyt surowe wiodącego życie, i z początkiem wiosny zesłały mu z niebios piękną Menakę...

Koniec opowieści byłby za drażliwy dla młodych dziewcząt, król z wielką delikatnością oszczędza trzpiotkom tego kłopotu.

— Resztę łatwo odgadnąć, rzekł, wieszczki zawsze w jeden postępują sposób, — a w gruncie duszy cieszył się bardzo z tej wiadomości.

Czas upływał mu prędko na miłej pogadance, ale orszak królewski został nadzwyczaj zaniepokojony długą nieobecnością monarchy, rozbiegli się więc po świętym lesie szukając go; nie chcąc zdradzać swego incognito, Duszanta pożegnał trzy dziewice i prędko się oddalił. Sakuntala, która przed chwilą chciała jak najprędzej wracać do pustelni, teraz zwalnia kroku i pozostaje za swemi towarzyszkami: nibyto przypadkiem zahacza tunikę o gałęź i korzystając z tego rzuca królowi wcale niezniechęcające spojrzenie. Czyż ta indyjska bohaterka nie przypomina Galatei Wirgiliusza „która ucieka ku wierzbom, ale pierwej chce być widzianą".

Akt drugi rozpoczyna się bardzo wesołym i dowcipnym dyalogiem. Nadworny trefniś, Madharya, użala się na niesłychaną namiętność Duszmanta do polowania, wyliczając trudy i kłopoty biednego dworaka zniewolonego towarzyszyć mu mimowoli. (Podobny charakter skreślił Molière w "Księżnie Elidzie" w osobie Morona.) Brahman ten jest najnieszczęśliwszym z ludzi; on pragnąłby siedzieć spokojnie, dobrze jeść i pić, a nie uganiać się po kniejach. Wtem ukazuje się Duszmanta w całym blasku królewskiego majestatu, otoczony hufcem kobiet *Yavana* *); szczególniejsza ta w swoim rodzaju straż honorowa, miała niegdyś w Indyach przywilej czuwania nad bezpieczeństwem króla. Na dworze króla Siamu po dziś dzień takie amazonki spełniają te obowiązki. Pan Aubaret, konsul francuzki w Bangkok, odwiedzając króla Siamu w 1864 r., widział korpus cały złożony z młodych amazonek, obowiązanych strzedz rezydencyi królewskiej. Nizam-Ali, jeden z ostatnich książąt dynastyi mongolskiej, miał dwa bataliony złożone z dwóch tysięcy kobiet, wyćwiczonych w sztuce wojskowej. Towarzyszyły mu w bitwie pod Kurdlah w 1795 r., i odwagą i wytrwałością nie ustępowały męzkim pułkom.

Duszmanta, potomek Puru, nie myśli już o polowaniu na gazelle lub słonie, marzy tylko o spotkaniu w lesie cudnej dziewicy, którą tam ujrzał.

„Kwiat, którego wonią nikt się nie napawał, tkliwy pączek, żadną nie dotknięty ręką, nieskalana perła, świeży miód, którego smakiem nikt się nie rozkoszował, piękność najdoskonalsza, będąca jakby bezmierną nagrodą pięknego życia pełnego dobrych uczynków — ach! któż posiadać ją będzie, kogo los skarbem tym obdarzy." *)

Ostatnie słowa zdradzają tajone dążenia i nadzieje króla, które też podnieca jego powiernik winszując mu już naprzód, że „gaj umartwień zamieni w ogród rozkoszy". Ale Duszmanta jest nieśmiały jak każdy prawdziwie kochający, i dla tego waha się, nie śmie wierzyć że jest kochany wzajemnie; nie wie czy wracać do stolicy swej gdzie go wzywa królowa matka, czy starać się ujrzeć znowu tę której obraz wyrył się w jego sercu. Los rozstrzygnął tę kwestyę. Od czasu gdy czcigodny Kanva udał się na pielgrzymkę, Rakchasy (złe duchy) co noc zakłócają spokój anachoretów, udają się więc do króla aby święte ustronie swoją otoczył opieką. Teraz już Duszmancie niewolno się wahać; wyprawia Madhavya z wytłomaczeniem do królowej matki, a sam, posłuszny swemu obowiązkowi, udaje się do pustelni.

Tam zastajemy go w trzecim akcie; sama obecność jego dokonała cudu, wszystkie upiory uciekły, gdyż Duszmanta, jako potomek bożka Lunasa, nadzwyczajną obdarzony jest władzą. Upiory zniknęły, ale inne troski spadły na pustelnię. Widzimy znowu trzy przyjaciółki siedzące nad brzegiem Malini, w pośród trzcin i pnączów — ale, niestety, ani śladu dawnej wesołości, zamilkły figle i niewinne sprzeczki — tajemnica jakaś dzieli dawne przyjaciółki. Piękna Sakuntala leży na ławie blada, omdlewająca, a przyjaciółki chłodzą ją wachlarzami z palmowych liści, usiłując orzeźwić jej piękne ciało trawione gorączką.

— Czy promienie słońca tak cię przepaliły? — pytają.

— Nie.

— Czyż nie w naszej mocy ukoić trawiące cię cierpienia?

Nie mogąc się oprzeć tak tkliwym naleganiom, piękna Sakuntala wyznaje towarzyszkom swoją miłość dla króla; zrywając krępujące ją tamy, tajona namiętność wylewa się potokiem z ust dumnej i nieśmiałej zarazem dziewicy.

— Ach! woła, zwracając się do towarzyszek, jeźli on mnie nie kocha, skropicie mnie niebawem wodą pogrzebową z ziarnkami sezamu **).

Pryamwada i Anasuya naradzają się niespokojne. Z jakąż to gwałtownością miłość zawładnęła tem młodocianem sercem, które dotąd nie znało innych nad hodowanie kwiatów i pieszczoty ulubionego daniela! Ale, na szczęście, Duszmanta był w pobliżu i słyszał wszystko. Ujrzawszy go nagle zarumieniona Sakuntala wydała okrzyk zawstydzonej niewinności, godny dziewicy chrześcianki. Towarzyszki oddaliły się przez delikatność, młoda Indyanka odpycha kochanka, dla którego umierać chciała, drżącą ręką broni się od pieszczot, o jakich marzyła w snach niespokojnych. Ale król wie teraz jak bardzo jest kochany — dlaczegóż więc Sakuntala nie miałaby zezwolić na tajemne małżeństwo, skoro przywilej ten przysługuje królom i wojownikom? *)

Duszmanta zaklina ją na klęczkach. Sakuntala z początku ucieka zawstydzona, wkrótce jednak ulegnie błaganiom ukochanego. Jakoż w następnym akcie, połączenie się potomka Puru z córką Kacyka jest faktem spełnionym. Upajający miesiąc miodowy mija szybko jak błyskawica — ale na nieszczęście królom niewolno zostawać pustelnikami, więc też uspokoiwszy ukochaną najuroczystszemi przysięgami, Duszmanta wraca aby zająć się sprawami państwa. Wkrótce przybyć mają wysłańcy mający przeprowadzić Sakuntalę do pałacu królewskiego, gdzie ona wyłącznie panować będzie nad sercem swego małżonka. Ale mijają dnie i miesiące, a wysłańcy nie przybywają, Sakuntala nie odbiera żadnego listu, żadnej wiadomości ze stolicy; płacze we dnie i w nocy tęskniąc za ukochanym, temwięcej iż ma zostać matką. Nie śpieszmy się jednak z potępieniem króla. W upojeniu szczęścia młoda małżonka zapomniała złożyć należnych hołdów pewnemu potężnemu mędrcowi, nazwiskiem Durwasas; chcąc się zemścić zawzięty pustelnik rzuca przekleństwo na młodą parę, której może zazdrościł szczęścia. Odtąd Sakuntala zostanie zapomnianą przez króla, tak jakby jej nie znał nigdy, a urok ten zniszczyć tylko może widok pierścienia, który Duszmanta włożył na palec ukochanej. Czyż tu nie widnieje myśl, że największe szczęście nie uwalnia nas od spełnienia jakichbądź obowiązków i że nie może to ujść bezkarnie?

W następnym akcie Kanva wraca do pustelni, a że posiada dar jasnowidzenia, więc wie o wszystkiem co zaszło podczas jego nieobecności. Postanawia tedy, że dziś jeszcze Sakuntala uda się do dworu króla. Tu dramat przekształca się w starodawną trajedię; ustają żartobliwe rozmowy i obrazy rozkoszy, akcya staje się wzniosła i rzewna jak opowieść Homera. Sakuntala wchodzi na scenę w gronie kobiet pustelnic; wdziewają na nią lniane szaty, przynoszą ryż poświęcony i ofiary błagalne, złożone z drogich klejnotów. Pomimo smutku, kobiety wpatrują się w nie z upodobaniem. Wierny swojemu charakterowi, autor w najważniejszych okolicznościach pozostaje złośliwym obserwatorem. Ofiara jest złożoną. Sakuntala obchodzi trzy razy święty ogień, poczem żegna się ze wszystkiem co ją otacza: z towarzyszkami lat dziecinnych, z zasadzonemi swą ręką lianami, z przeskakującym po lasku danielem, z kokilą świergoczącą wśród drzew gałęzi. Kanva błogosławi przybraną córkę z powagą duchowego przewodnika:

— Córko moja, rzekł, posłuchaj mojej rady.

*) Nazwą Yavani nazywają Indyanie barbarzyńców zachodu, głównie Greków i Arabów; ale nadawano je także mieszkańcom Tartaryi i Baktriany. W rodzaju żeńskich Yavana.

*) Według przekładu p. Edwarda Foukaux.

**) Ziarnek takich używano w Indyach przy obchodach pogrzebowych.

*) Małżeństwo takie uprawionem jest wzajemnem zezwoleniem dwojga kochanków, jak to ma miejsce w niebie Indry między Gandarwasami czyli muzykantami tegoż bóstwa.

Choć mieszkamy wśród lasu, znamy sprawy światowe. Zwierzchników swoich słuchaj z uszanowaniem; bądź przyjaciółką towarzyszek twoich. Choćby mąż źle obchodził się z tobą, nie bądź dla niego przykrą i nieuległą, nie unoś się gniewum. Dla służby bądź dobrą i wyrozumiałą; niech szczęście nie wbija cię w pychę. Takie tylko kobiety odpowiadają godnie obowiązkom pani domu, inne stają się zgubą i nieszczęściem rodzin.

Czyż nie możnaby włożyć słów tych w usta jakiego biblijnego patryarchy?

Wypowiedziawszy te zbawienne rady, pustelnik w natchnionem jasnowidzeniu przepowiada przyszłość. Widzi że Sakuntala, odepchnięta dziś przez męża, będzie potężną królową i matką niezrównanego wojownika. Wtedy powróci ona zwiedzić schronienie, w którem spędziła młodociane lata, i stopy jej znów dotykać będą ziemi cichej pustelni.

Karawana ruszyła w pochód; biała tunika Sakuntali znikła wśród drzew; mieszkańcy lasu pozostają pogrążeni w smutku; sam tylko Kanva zadowolniony jest ze spełnienia obowiązku.

Teraz opuszczamy cichę, poważne ustronie i przenosimy się do pałacu azyatyckiego monarchy. Cóżto za namiętna melodya słyszeć się daje? To królowa Hansapadika stara się rozbudzić zmysłowość młodego monarchy, ale rozkosze haremu nie zdołają rozwiać jego zamyślenia. On marzy wciąż o jakichś niebiańskich rozkoszach, których zdaje mu się zakosztował jakby w uprzedniem życiu. W tak melancholicznem będąc usposobieniu, odbiera zawiadomienie o przybyciu poselstwa od Kanva, a pustelnicy objawiają mu cel w jakim zostali wysłani, podczas gdy drżąca Sakuntala czeka z bijącem sercem, okryta zasłoną. Spełniły się groźby Darwasasa, król zapomniał o wszystkiem i pyta z największem zadziwieniem:

— Więc to obecna tu pani utrzymuje, że poślubiłem ją kiedyś?

Zdejmują zasłonę pokrywającą Sakuntalę — daremnie — widok tej, której tyle rozkosznych zawdzięcza godzin, żadnego w tej uśpionej duszy nie budzi wspomnienia. To niewdzięczne zaparcie się przeszłości niewysłowioną boleść sprawia Sakuntali.

— Ah! zawołała z goryczą, gdy taki koniec tak wielkiej miłości, nie ma co jej przypominać!

Ale słabość ta trwa tylko chwilę — przez wzgląd na dziecię musi się usprawiedliwić. Powstrzymuje łzy oburzenia cisnące się do jej oczu; chce pokazać pierścień po którym zostałaby poznaną — znikł z jej palca, i król znieważoną małżonkę oskarża o oszustwo. Dwór cały patrzy i słucha zaciekawiony; Sakuntala nie zważa na to i woła w uniesieniu:

— Niecny uwodzicielu, wydajesz wyrok natchniony twem przewrotnem sercem. Któż chciałby naśladować twoje postępowanie! Podobny studni ukrytej w trawie pokrywasz się płaszczykiem cnoty... Biada mi, biada! że zawierzywszy przysiędze oddałam się temu potomkowi Puru, mającemu miód w ustach a truciznę w sercu.

Kochanek pozostaje niewzruszony, a króla niecierpliwi niczem nieusprawiedliwiona natarczywość. Anachoreci sprzeciwiają się powrotowi shańbionej do pustelni, jeden tylko litościwy brahman ofiaruje się dać u siebie schronienie nieszczęśliwej, odepchniętej przez wszystkich. Odprowadza nawpół omdlałą — wtem płomień w postaci kobiety unosi odepchniętą małżonkę i znika z nią w powietrzu. Ten płomień, to matka Sakuntali, Menaka, czuwająca nad córką, która teraz w niebieskich przestrzeniach odpocznie po smutkach i udręczeniach ziemskich.

Tu akcya staje się coraz więcej skomplikowaną, wypadki nader szybko po sobie następują. Odnoszą Duszmancie pierścień którego zguba tylu trosk i zawikłań stała się powodem; na jego widok pamięć wraca mu natychmiast. Rybak jakiś znalazł pierścień ten w żołądku ryby. Dworak jakiś opowiada, że z powodu smutku króla, cała natura przywdziała żałobę. Biedny król, dodaje cicho szambelan, wyraźnie cierpi umysłowo, ilekroć chce powiedzieć jakąś grzeczność kobietom, mimowolnie wymawia imię „Sakuntala".

W Akcie VI-ym nieszczęsny książę wchodzi do ogrodu z gołą głową, wzrok jego nieruchomy, oczy zamglone bezsennością. Siada w gaju z przyrządami do malowania w ręku, gdyż jedyną jego rozrywką jest odtwarzanie rysów ukochanej i wszystkiego co ją otaczało. Wtem wchodzi Matali, woźnica Indry, wzywając króla aby szedł walczyć z hufcem olbrzymów toczących wojnę z bogami. W *Illiadzie* Antodemon, syn Diory, jest woźnicą Achillesa, a później zostaje koniuszym Pyrrusa — na dworach książąt indyjskich woźnice spełniali także obowiązki koniuszych, a Matali, zostający w usługach bozka, jest znakomitą osobą.

W Akcie VII-ym i ostatnim widzimy króla zstępującego z raju Indry (Swarga), unoszącego się nad szczytami gór Himalaya. Zwycięzki wojownik zadowolniony jest z przyjęcia władcy bogów. Gdy tak rydwan niebieski unosi się w obłokach, królowi państwo jego przedstawia się z góry jak maleńki punkcik w przestrzeni. Duszmanta wstępuje na górę Hemakuta, aby tam złożyć hołd Kaucyapie, wnukowi Brahmy. Oczekując przyjęcia, ujrzał chłopczyka mogącego mieć lat 3 czy 4, bawiącego się z lwiątkiem. Nieostrożny chłopiec chce kłaść rączynę w paszczę małego lwiątka, aby policzyć jego zęby. To dziecię nie znające trwogi żywe na Duszmata wywarło wrażenie; wziąwszy go za rączkę, zobaczył że palce jego są spłaszczone aż do pierwszego kłykcia, co było charakterystyczną cechą potomków Puru. *) Żadne przekleństwo nie zaślepiało teraz króla — z szaloną radością pochwycił dziecię w objęcia i przycisnął do serca. Syn ten połączy ojca z matką. Wtem ukazuje się Sakuntala; włosy jej jak u wdowy, w jeden zaplecione warkocz; pozostała wierna swojej wierze, boleści i wspomnieniom. Czyż teraz odtrąci tego, który ją błaga tak rzewnie?... wszak zemsta tak miłą bywa zranionemu sercu kobiety!... Tak, ale miłość prawdziwa wyższą jest nad wszelkie wyrachowania i nędzne podszepty pychy; opuszczona Sakuntala pamięta tylko o szczęśliwych z ukochanym przeżytych chwilach, i nie wyrzekłszy słowa skargi rzuca się w objęcia winowajcy.

Teraz następuje wyjaśnienie; bohaterka zasłużyła na to, aby z ust mądrego Kacyapy usłyszała uniewinnienie króla; to też ukazuje on się w obłokach na pełnym blasku tronie — apoteoza ta kończy dramat — zasłona spada. Tylko prawdziwy geniusz mógł zrodzić w umyśle pogańskiego poety utwór tak wzniosły, bohaterkę tak szlachetną i tkliwą, łączącą w sobie obok dziewiczej wstydliwości całą potęgę miłości macierzyńskiej oraz bezgraniczne przywiązanie i poświęcenie żony.

(D. c. n.)

*) Palce spłaszczone do pierwszego stawu, są zapowiedzią i oznaką wielkości. Budha i Rama odznaczają się tą cechą.

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

(Dalszy ciąg).

Akt V.

Przedsionek świątyni nad brzegiem Wisły, jak w Akcie III-m, z dodaniem koła ofiarnego, ułożonego z białych kamieni, pod dębem. Na kamieniu białym leżą: miecz i deski z napisami runicznémi. Obok tron Wandy okryty purpurą.

Scena pierwsza.

(Wchodzą Gęślarze i Lirnicy z Wisławem na czele, kończąc grę uroczystą. Gromadzą się Lesi uzbrojeni i Lud; jedni niosą tyczydła z bożkami, inni składają bochenki chleba pod dębem; z boku ustawiają się robotnicy z rydlami, motykami i t. p. Po chwili wchodzi Wanda w białéj szacie, w koronie. Świetlana, Lubonia i Milica również ubrane w biel, niosą wieńce i równianki kwiatów w ręku. Chór Dziewic okrąża koło ofiarne.)

ŚWIETLANA *(śpiewa).*

Szumią tęskne wiatry w boru, po dębinie, —
Oj, żałość to ludu wieje po krainie.
Umarł Krakus umarł! ach, w locie wzbujałym
Na Górę-Żywota wzbił się orłem białym.

CHÓR.

Ojcze ludu! z rajskich stron,
Doli złotéj spuść nam plon;
Jako gwiazdek mleczny szlak,
Niech nam Wanda błyszczy tak!

MILICA *(j. w.)*

Kędy jesion gwarzy złotémi liściami,
Tam król-orzeł siada po nad Karpatami.
Ojcze ludu! wstaw się do boga Perona,
Niech jak słońce Wandy zajaśni korona!

CHÓR.

Do ostatnich świata lat
Ojca-króla uczci świat.
Ty lilijo polskich wód,
Ty nam wsławisz jego ród!

LUBONIA.

Prędzéj Wisła z morza wstecz pod Kraków [spłynie,
Niż wielka mogiła Krakusa zaginie,
Były chmury, przeszły, znowu słonko płonie;
Nowa nam perełka zabłysła w koronie.

CHÓR.

O! lilijo polskich błoń,
Wieńcem sławy splotłaś skroń;
Kwiat żałobny zwiędnął już,
Ślubny wianek na skroń włóż!

WANDA.

Witam was wszystkich! Cnót przepięknych dwójca
Splata się dzisiaj w cześć wiecznéj pamiątki:
Narodu wdzięczność dla Krakusa ojca,

I wymiar prawa, czego po zwyczaju
W corocznych sądach lud żąda w tym kraju.
Oto są dla nas dwa wspaniałe świątki.
Lecz drużki moje, wiecież, czy zsądzono
Mnie ślubny wieniec zapleść wraz z koroną?...
Wszak ten, co gwiazdą błysnął mi tak jaśnie —
Bogdal, nie wraca... Czyż ma gwiazda gaśnie?...

WISŁAW.

Królowo! oto lud z mogiły wraca,
Którą usypał ku Ojca pamięci;
Pod niebo sięga z czci zrodzona praca,
Jéj wielkość cały naród w sercach święci.
I, co kazałaś, spełniono niebawem:
Tu leżą deski z wyrzezaném prawem,
Tam sądek pełen świętocudnéj wody
Do plam obmycia w sądowym obchodzie;
Zatknięte wiechy na świąteczne gody
Zdaleka wieszczą o rokach w narodzie.

WANDA.

Czy jakie w kraju są wieszczby, nowiny
W tym dniu tak ważnym?

JEDEN Z GĘŚLARZY.

Dziś za Krzemionkami,
Na wielkich łęgach wśród gęstéj łoziny
Siadły bociany licznémi stadami,
Chodząc, klekocząc, widocznie sejm miały.
Ciekawy, wszedłem między nie, lecz one
Zejść nie chcąc z drogi, ku mnie się rzuciły.
Strach mię ogarnął, uszedłem na stronę;
Wtém wszystkie zwolna wzbiwszy się do góry,
Smutnie klekocząc, niezmiernémi sznury
Precz na południe odleciały w porze,
Gdy ledwie Stary-bóg rozwinął w borze
Brodę zieloną.

WISŁAW.

Wróżba ta niedobra:
Może nam wieści napad Niemca, Obra...

WANDA.

Niech serc spokoju ta wróżba nie zmąca;
Toż górnych bogów mowa cudnie-brzmiąca
Dziś na promieniach wiosny z chmur sklepienia
Śle do serc naszych radość wszechstworzenia:
Słychać ją w szumie skrzydlatych powiewów,
Słychać wpogwarze tych gajów i krzewów,
I w szmerze westchnień, co polem i borem
Wielkiéj pamiątce tak dziś grają wtorem;
Patrzmyż w świat okiem miłości, nadziei.
Wieszczu nasz! zacznij obrzędy z kolei.

WISŁAW *(zlewając ołtarz mlekiem z białego dzbana).*

Jako jest białém to święte naczynie,
Jako jest czystym napój, co zeń płynie,
Tak serca nasze, o! bogi wieczyste,
Do was z padołu ślą modlitwy czyste.
Co rok, gdy lice Światowita w górze
Dzionek promienny odsłoni w purpurze,
Niech na mogile, którą usypali,
Przynosząc w bratnich r ę k a c h ziemię z dali,
Święto R ę k a w e k obchodzą radośnie
Z r ę k o w i n a m i o corocznej wiośnie.
W jedności natchnień szły tu mnogie rzesze,
Jednością wzrosła ta wielka mogiła, —
Gdy czas ją pozrze, w sercach będzie żyła.
Lecz zgryzot ognie te serca niech spalą,
Co się od świętych zwyczajów oddalą, —
Przekleństwo takich matek dzieciom w łonie, —
Głos ten przyjm w niebie wszechmocny Peronie!

WANDA *(klęka i z nią obecni).*

Proch świętéj ziemi całując w pokorze,
Do was się modlę, wy Istoty boże,
O spokój wieczny dla ojca i brata,
Których rocznicę obchodzimy zgonu:
Niech zmiłowania-ptak nad nimi wzlata.
Ześlijcie, bogi, pociechę dla tronu,
Dla ludu całéj téj Polan ziemicy,
Co płakał ze mną do wspólnéj łzawnicy.
(Powstaje wraz z obecnymi.)
W tak wielkie święto, jako wszyscy wiecie,
I jak obyczaj wskazuje prastary,
Najprzód odbędziem narodowe wiece;
Rozsiejmyż łaski i wymierzmy kary
Dla ludu, co méj oddał się opiece.

PACHOŁEK *(wchodząc).*

Królowo! jeńcy przyszli już z więzienia,
I orędują tam kornie litości.

WANDA.

I dla nich miecz się dziś na łaskę zmienia.
Wprowadź tu owych niegdyś hardych gości.
(Pachołek wychodzi.)
Przeumne dziewy, wieszczki cnotą święte,
Zbliżcie się do mnie. Roki rozpoczęte.
(Siada na tronie.)
Świetlano! imaj ostry miecz prawicą,
Ty, prawodatne deski dzierż, Milico, —
A ty, Lubonio, z bogunki oczyma,
Ogłosisz łaski, które lud otrzyma.
(Wisław podaje Świetlanie miecz a Milica deski.)
Wieszczki sędziebne! wspólna dziew bogini
Dziewonia, niech się za nami przyczyni
Do świętéj Żywie, dobréj matki ziemi,
Bym sąd głosiła usty matczynemi.
Niemylny Prowe! méj pieczę nad nami,
Niech trąd ciemięstwa duszy méj nie splami.
(Wchodzą więźnie w okowach pod strażą, a między nimi Egbert i Ulryk bez hełmów. Niektórzy z więźniów niemieckich okryci w skóry zwierząt z rogami.)

LUBONIA.

Litość i łaska polańskiéj królowéj
Każe wam rozkuć żelazne okowy.

WANDA.

Wszak nas chcieliście w pysze okuć niemi!

WIĘŹNIOWIE.

Przebacz, królowo!

WANDA.

Idźcie do swéj ziemi.

EGBERT i inni WIĘŹNIOWIE.

Dzięki! Żyj pani, setne lata sławnie.

ULRYK *(na stronie).*

Przyjdziem twą hardość ukarać niebawnie.
Zjemy was z czasem...
(Straż rozkuwa im kajdany; wychodzą lewą stroną. Za nimi część ludu).

PACHOŁEK *(wchodząc).*

U mogiły stoku
Niewiasta ślepa stoi, chce wyroku:
Rzucenie zwierzom skradzionéj dzieciny,
I trucie ludzi, oto są jéj winy.

WANDA.

Czyn jasny; zważmy, co zasłużył zbrodzień?

MILICA.

Według zakonu żyć dłużéj nie godzien.

ŚWIETLANA.

Oto miecz, by jéj przeciąć nić żywota.

LUBONIA.

Królowo! przed sąd niech stanie niecnota;
Niech ją wprzód ujrzy twój wzrok dobroczynny,
Grzech, gdy wyznany, już na wpół niewinny.

WANDA.

Niech tu przybędzie.
(Pachołek wychodzi.)
Tak, winni, gdy zbrodni
Swych zerwą skrytość, litości są godni.
Jak świat bez słońca byłby straszną chmurą,
Tak tron bez łaski stałby się torturą;
Słońce promieńmi uczy nas hojnémi,
Z jaką szczodrotą król-władca na ziemi
Łaski siać winien na swój lud, bo one
Perłami stroją żelazną koronę.

Scena druga.

(Wchodzi Baba-Jaga po omacku z kosturem w ręku.)

BABA-JAGA.

Czemuż mym oczom tak wszystko daleko!
Czemu czerw' wspomnień schorzały mózg wierci!
Miast łez krwi krople po licach mi cieką,
A każda kropla żrze, by żądło żmije...
Synu! gdzież jesteś?... Ah! on z głodnéj śmierci
Skończył raz przecie. A ja jeszcze żyję!

WANDA.

Niewiasto! znam cię, jakiebądź twe grzechy,
Ja dziś cię płaszczem okryję pociechy;
Wydarty wzrok twój w słup cię kaźni zmienia,
I kruszy serca choćby i z kamienia.
Powiédz, zaprawdę, nędzny robak przecie
Śmierci się boi, chciałby żyć na świecie,
A tobie tak już obrzydło istnienie!
Czyż ta pobudka pod nasz miecz cię żenie?

BABA-JAGA.

Ah! zbrodnie, zbrodnie pędzą mnie po świecie!
Ty nie wiész, co to zbrodnia moje dziecię.
Zbrodnie — to wichry, co rwą bór z korzenia,
Zbrodnie — to krople ukropu, syczące,
Padalcem w sercu, a każda rozplenia
Ból jeden w bólów najsroższych tysiące!
Zbrodnia — to żmija niczem niezgładzona,
Co się tak żądłem wpije w lędźwie łona,
Że rychléj stracisz nędznych dni osnowę,
Niźli téj żmii zetrzesz straszną głowę...
Och! zbrodni pamięć — to bicz upleciony
Z ognistych wężów, który od dnia do dnia
Tak smaga, pędząc w różne świata strony,
Aż w końcu wżenie znękanego zbrodnia
W to miejsce, kędy na niewinnych życie
Skrwawiona larwa nóż mu dała skrycie...

WANDA.

W słup stają włosy na ten głos złowrogi!
Więc gna cię tutaj pamięć zbrodni twojéj, —
Tu, gdzie niewinnym odbierałaś życie,
Czy tak? Toż wygłoś zbrodnie twe bez trwogi;
Kto rozpacz tłumi, cierpienia swe dwoi.

BABA-JAGA.

Słuchaj więc mowy śmierci wonią tchnącéj,
I tajemnicy, co mózg mi rozpala:
Gdym przyszła w mamki do matki twéj łoża,
Z bolów porodu tydzień konającéj,
Skradłam jéj synka. Zanim błysła zorza,
Zanim płaszcz z nieba zwinęła Nocyna,
W kolebkęm swego podłożyła syna.
Syn mój rósł w zamku, a Leszkiem nazwany
Miał kiedyś z woli wyraźnéj Krakusa
Być Lumirowi starszemu poddany.
Toż bies mi szepnął, a podła pokusa —

Dybalt ośmielił zdradliwémi rady,
Bym miecz Leszkowi dała do zagłady
Lumira, — chciałam być królową-matką.
Syn spełnił zbrodnię. Dybalt skłamał gładko,
Że smok śmierć zadał w jamie Lumirowi.
Chcąc potem drogę ugładzić synowi,
Tobiém truciznę podała zdradziecko,
I cios na własne wymierzyłam dziecko!

(Ogólne zdumienie.)

WANDA.

Straszne, zaiste, wieścisz zbrodnie! Przecie
Gdzież brat mój, ono wykradzione dziecię?
Czy żyje?

BABA-JAGA.

Zginął! wręcz mówię, otwarcie;
Wszak go rzuciłam zwierzom na pożarcie.

WANDA.

Co się raz stało, już się nie odstanie!...
Żal twój, zgryzota, za karę ci stanie.
Zostaw nas.

(Do Pachołka.)

Niechaj w zamku na Wawelu
Znajdzie schronienie.

BABA-JAGA.

Oh! po mękach wielu
Męka najsroższa: wlec żywot zatruty,
I przejść po śmierci w potwór, dla pokuty.

(Wychodzi z Pachołkiem.)

OKRZYKI ZA SCENĄ.

Niech żyje! niech żyje!

WANDA.

Głoszą z radością przybycie, lecz czyje?

(D. n.)

PRUSACY W FRANKFURCIE,

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

VI.

Benedykt Turpin.

Czytelnicy domyślają się pewnie, że Frankfortczyk Lenhart, osiadły w Brunświku, gdzie zajmował się wynajmowaniem powozów, nie pierwszy raz zajeżdżał do *Królewskiego hotelu*. Niejednokrotnie turyści, Anglicy lub Francuzi, pragnęli tymże co Benedykt sposobem odbyć prześliczną drogę z Brunświku do Hanoweru, a Lenhart czyniąc zadość ich życzeniu, wynajmował im swoje powozy, a często i sam odwoził. Tak więc on i Stephen, właściciel hotelu, byli tak dobrymi przyjaciołmi, jak pozwalały na to odmienne ich stanowiska.

Lenhart uprzejmie powitany przez Stephen'a, odprowadził go na stronę, i aby mu dać pojęcie o ważności przywiezionego gościa, zawiadomił go, że jest on śmiertelnym wrogiem Prusaków, i że przewidując blizką wojnę, przybył ofiarować na usługi króla hanowerskiego dubeltówkę, której strzały nie chybiały nigdy. Na dowód, oddał mu w wielkim sekrecie trzy zające, bażanta i królika, upolowane z powozu, na drodze z Brunświku do Hanoweru. Oddał je w sekrecie, bo ponieważ był to czas w którym polowanie jest zabronione pod surowemi karami, przeto podróżny którego przywiózł, byłby skazany conajmniej na pięć lub sześć dni aresztu i dwieście do trzystu franków kary.

Stephen wysłuchał z wielkiem zajęciem opowiadania Lenhart'a, a zajęcie to spotęgowało się jeszcze gdy mu okazał zająca zabitego kulą z odległości stu dwudziestu kroków.

— Ale nie na tem koniec, dodał, pan, który jesteś restauratorem i setki zajęcy przechodzi przez twoje ręce, powiedz mi, proszę, czy też znasz obyczaje, nawyknienia i zwyczaje zajęcy?

— Dalipan, nie! przecież przynoszą mi ich zawsze nieżywe, a wtedy mają już tylko zwyczaj być zjedzone pieczone lub w pasztecie.

— Otóż ten młody pan zna je doskonale; powiedział mi naprzód jak zając ten się zachowa i jak on go zabije, i wszystko spełniło się co do joty.

— Skądże on jest rodem?

— Powiada, że jest Francuzem, ale niebardzo temu wierzę; przez cały czas ani razu nie chełpił się z niczego i zadobrze mówi po niemiecku. Ale otóż przyzywa pana.

Stephen zamknął zwierzynę w spiżarni, poczem stawił się na wezwanie.

Młody podróżny rozmawiał z angielskim oficerem nadwornym, a wyrażał się po angielsku równie doskonale jak po niemiecku. Zobaczywszy Stephen'a, zwrócił się ku niemu.

— Panie gospodarzu, rzekł po niemiecku, pułkownik Anderson raczył odpowiedzieć w połowie na moje pytanie, zapewniając, że pan objaśnisz mnie co do reszty.

— Będę się starał zadowolnić j. w. pana, gdy tylko raczysz zawiadomić mnie o co chodzi.

— Zapytywałem pana pułkownika o nazwę głównego dziennika hanowerskiego, i raczył zawiadowić mnie, że jest to *„Nowa Gazeta Hanowerska"*, dodając, że pan będziesz mógł wskazać nazwisko naczelnego jej redaktora.

— Naczelnym redaktorem *„Nowej Gazety Hanowerskiej"* jest pan Bodemeyer, wysoki, szczupły, z brodą.

— Nie znam go wcale, potrzebuję tylko wiedzieć jego nazwisko i adres, aby mu posłać mój bilet wizytowy.

— Wiem tylko adres redakcyi; na tejże ulicy, nieco dalej, z przeciwnej strony, Nr 10.

— To mi wystarcza.

— Ale! zawołał Stephen, spoglądając na zegar, czy będzie pan obiadował przy *table d'hôte?*

— Zapewnie.

— Otóż obiad u nas o piątej, a pan Bodemeyer jest stałym naszym gościem. Będzie tu za pół godziny.

— Tem więcej śpieszyć się muszę z posłaniem mu biletu.

I wyjąwszy z pugilaresu bilet wizytowy, pod wyrazami Benedykt Turpin, malarz, dopisał: „Do pana Bodemeyer, głównego redaktora Gazety Hanowerskiej." Poczem zawoławszy hotelowego komisyonera dał mu florena z poleceniem, aby doręczył bilet najpóźniej za dziesięć minut.

Gdy komisyoner się oddalił, Stephen rzekł cicho do Benedykta:

— Daruje j. w. pan, że poważam się mieszać do tego co do mnie nie należy, ale sądzę, że skoro posłałeś bilet swój panu Bodemeyer, to zapewnie masz mu coś do powiedzenia.

— Ma się rozumieć.

— To czy nie lepiej byłoby obiadować w oddzielnym gabinecie; spożytkowałbym przywiezioną przez j. w. pana zwierzynę, obiad byłby wyborny.

— Wyborna myśl! ale zanim odpowiem, muszę zasięgnąć rady tego pana.

I podszedłszy do pułkownika Anderson, rzekł mu:

— Panie pułkowniku, gospodarz nasz poddał mi projekt, który wyda mi się doskonałym, jeźli raczysz go potwierdzić, to jest jeźli raczysz obiadować dziś ze mną i panem Bodemeyer. Stephen zaręcza, że da nam obiad wyborny; najlepsze, jakie ma wina węgierskie i reńskie, i to w oddzielnym gabinecie, gdzie będziemy mogli rozmawiać swobodnie. Otóż od pięciu czy sześciu miesięcy, jak opuściłem Francyą, nie miałem sposobności rozmawiać. We Francyi rozmawiają, w Anglii mówią, w Niemczech marzą — otóż będziem mogli rozmawiać, mówić, marzyć. Wprawdzie nie miałem zaszczytu być panu przedstawionym, ale o 150 mil od Anglii wolno nie trzymać się ścisłej etykiety, mam więc nadzieję, że skoro nie znając mnie, raczyłeś pan udzielić mi pewnych objaśnień, to nie zechcesz mi odmówić zaszczytu obiadowania ze mną, skoro powiem kto jestem. Oto mój bilet; bilet artysty, bez herbu i korony, nic prócz skromnego krzyża Legii honorowej. Prawdziwy bilet proletaryusza, nie posiadającego innego tytułu, nad ten, że jest uczniem dwóch znakomitych mistrzów.

Pułkownik, ukłoniwszy się, wziął bilet.

— Dodam jeszcze, panie pułkowniku, mówił dalej poważniejszym tonem, że zapewnie jutro albo pojutrze przyjdzie mi prosić pana o poważną przysługę, i pragnąłbym bardzo mieć sposobność wykazania panu, że nie jestem niegodzien tego zaszczytu.

— Panie, odrzekł pułkownik uprzejmie, jak tylko ma mi to dać sposobność oddania mu jakiejś przysługi, z przyjemnością przyjmuję zaproszenie.

— Jak tylko pan pułkownik raczyłeś je przyjąć spodziewam się, że i pan Bodemeyer nie odmówi, moim więc obowiązkiem starać się, aby obiad był niezły; pozwolisz więc pan, że pójdę porozumieć się z restauratorem.

Zamieniwszy ukłony, pułkownik Anderson przeszedł do sali konwersacyjnej a Benedykt do kuchni.

Benedykt Turpin był jakby zlepkiem wielu ludzi czyli raczej wielu temperamentów. Był zarazem znakomitym artystą i poczciwym chłopcem, łączącym, co się rzadko zdarza, koloryt z wykonaniem, poszanowanie przyrody i cześć dla ideału. Ztąd wynikało, że cokolwiek chciał malować: czy to piękne dęby lasu Fontainebleau, czy wspaniałe sosny willi Pamfili w Rzymie, czy też, jak Decamps, turecką kawiarnię, lub potyczkę jakąś, jak Berenger, — drzewa, ziemia, ludzie, konie, przedstawiały mu się zawsze z pewnej poetycznej strony.

Zostawszy panem swego majątku, w wieku, w którym zazwyczaj młodzi nie umieją się rządzić, nie tracił go marnie, umiejąc poprzestać na skromnym dochodzie 12,000 fr. Przekonany o prawdzie tego axiomatu, że przez naukę obcego języka człowiek podwaja swoje życie, czterykroć pomnożył swoje nauczywszy się czterech, i w tym celu spędził rok w Anglii, rok w Niemczech, rok we Włoszech i rok w Hiszpanii. W ośmnastym roku życia mówił poprawnie językami: Roussea'u, Milton'na, Goetheg'o, Calderon'a i Dante'go. Udoskonalając tę naukę filologiczną do dwudziestego roku życia, posunął ją do rzadkiej doskonałości.

Obok powyższych, pracował w wolnych chwi-

lach nad językiem greckim i łacińskim, niezbędnych dla nadania edukacyi gruntownej podstawy. Czytał i zgłębiał poetów i prozaików starożytnych i tak umiłował dzieje starożytne, że znał gruntownie nietylko wszelkie odnoszące się do nich fakta ale nawet legendy i anegdoty.

Pociągnięty cudownością, badał i zgłębiał tajemnicze nauki, kabałę, tajemnice orficzne i nareszcie chiromancię i chirognomię, nowocześnie wydoskonalone przez pp. d'Arpantigny i Desbarolles, będących jego mistrzami i zarazem przyjaciołmi.

Obok tych nauk poważnych nie zaniedbał ćwiczeń gimnastycznych, w których, dzięki przyrodzonym zdolnościom, nabył nadzwyczajnej wprawy. Był doskonałym strzelcem, w fechtowaniu nie dorównywał mu żaden ze współuczni, umiał boksować się i bić na pięści, mistrzowsko grał w bilard i piłkę, słowem celował we wszystkich grach wymagających połączenia siły, intelligencyi i zręczności, a obok tego odznaczał się salonowym dowcipem i elegancyą, a ruchami przypominał owych malarzy ze szpadami w XVII wieku. Prócz tego był nadzwyczaj odważnym, pogardzał niebezpieczeństwem, a dzięki tylu przymiotom, Benedykt już w dwudziestym roku życia był znakomitym młodzieńcem, zapowiadającym, że w trzydziestym stanie się człowiekiem genialnym.

W owym właśnie czasie, Francya przedsięwzięła łącznie z Anglią wyprawę do Chin; Benedykt znający dotąd tylko Europę, korzystał z tej sposobności poznania innych części świata. Prosił aby go przyłączono, jako rysownika, do głównego sztabu armii i prośbę te uwzględniono z łatwością. Tam ulegając żyłce wojowniczej, częściej chwytał za broń niż za ołówek i łącznie z gwardyą anglo-francuzką jeden z pierwszych wszedł do Pekinu i do pałacu cesarskiego. Znając się doskonale na wartości rzeczy i posiadając odpowiednie fundusze, za marne pieniądze ponabywał od chętnie sprzedających je żołnierzy, prześliczne zabytki sztuki i różne pełne wartości nader ciekawe przedmioty.

Z Pekinu przysłał na wystawę dwa obrazy, i tam też skończył lat dwadzieścia jeden. Któryś z kolegów stanął za niego do losowania i wyciągnął numer tak wysoki iż był wolny od służby wojskowej. Poznawszy dobrze Chiny, powracał na Jawę, w cieśninie Malacca został napadnięty przez rozbójników malajskich, stoczył z nimi zaciętą walkę, zabił kilku, dzięki doskonałym rewolwerom, a reszta uciekli; spędził miesiąc w Chandernagor; w żunglach Bengalu polował na pantery i tygrysy w towarzystwie najsławniejszych myśliwych, a następnie zatrzymał się w Ceylonie, z postanowieniem upolowania dwóch słoni. Po dwutygodniowym pobycie postanowienie to zostało spełnione.

Opuściwszy Ceylon, spotkał się w Dżedah ze sławnym myśliwcem Vayssieres i pojechał z nim do Abissynii polować na lwy i tygrysy, poczem przez Kair, Aleksandrię i Maltę wrócił do Paryża, przywożąc z sobą przepyszne meble, materye, klejnoty, szkice i rysunki. Urządziwszy tu sobie prześliczne artystyczne mieszkanie, zostawił dwa obrazy przeznaczone na pierwszą Wystawę, poczem udał się w podróż do Petersburga i Rossyi. Tam w porze śniegów polował na wilki i niedźwiedzie; poczem udał się do Tyflisu, Konstantynopola i Aten; zwiedził Maraton, Teby, Salaminę, Korynt, i powrócił przez Messynę, Pallermo, Tunis, Konstantynę, Algier, Tetuan, Tanger, Gibraltar, Lizbonę, Berdeaux, i przybywszy do siebie zastał order Legii honorowej.

W roku 1865 zaopatrzywszy się w listy rekomendacyjne do najznakomitszych malarzy w Niemczech, zwiedziwszy Brukselię, Antwerpię, Amsterdam, Monachium i Drezno przybył do Berlina, gdzie widzieliśmy go na promenadzie pod Lipami, stającego w obronie honoru Francyi, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, którego zdołał uniknąć jakby cudem, dzięki szczególniejszemu szczęściu jakie mu zawsze sprzyjało.

Gdy wystrzały wymierzone do pana von Boeseverk, odwróciły od niego uwagę, udał się co prędzej do ambasady francuzkiej, której był nader silnie polecony. Tam przeczytał ostatnie wiadomości, dowiedział się o demonstracyi pod oknami pierwszego ministra, protestującej przeciw zabójstwu, którego o mało nie stał się ofiarą.

Co do zabójcy, po pierwszem badaniu dowiedziano się tylko, że nazywa się Blind, i jest synem wygnańca z 1848 r.

O wpół do szóstej rano, Benedykt przybył na dworzec w towarzystwie kanclerza legacyi, i kupiwszy bilet do Hanoweru, gdzie dojechał szczęśliwie, a kanclerz powrócił do ambasady, zdać sprawę o jego odjeździe. Widzieliśmy, że przybył do Hanoweru i stanął w *Hotelu niemieckim*.

Benedykt lubił dobrze jeść i doskonale znał się na kuchni; jednak w razie potrzeby, w podróżach i pustyniach, umiał bez skargi obchodzić się bez najpotrzebniejszych rzeczy. Obecnie miał sobie za obowiązek uraczyć swych gości obiadem złożonym z najwykwintniejszych potraw, win i przysmaków.

Właśnie wydał ostatnie rozporządzenia, gdy dano mu znać, że pan Bodemeyer nadchodzi już do hotelu. Trzymał w ręku bilet przysłany mu przez Benedykta i przypatrywał mu się widać mocno, zdziwiony, co może chcieć od niego jakiś malarz francuzki.

VII.

Benedykt Turpin zawiadamia przez Gazetę hanowerską o przybyciu swojém do stolicy J. K. Mości, Jerzego V.

Od pierwszego spojrzenia p. Bodemayer poznał, że Benedykt jest Francuzem, powitał go uprzejmym uśmiechem i postąpił ku niemu; Benedykt widząc to zbliżył się prędko i podali sobie ręce, poczem pan Bodemeyer zapytał go zkąd przybywa. Dowiedziawszy się, że dziś właśnie opuścił Berlin, prosił aby mu opowiedział zaszłe tam wczoraj wypadki i szczegóły zamierzonego zabójstwa hrabiego Boesewerk, które dotąd znał tylko z telegramu. Lecz jakkolwiek Benedykt znajdował się zaledwie o jakie dwadzieścia kroków od miejsca wypadku, niewiele mógł o tem powiedzieć. Słyszał pięć wystrzałów z rewolweru, widział dwóch mężczyzn jednocześnie upadających na ziemię, z tych jeden powstał prędzej i oddał drugiego pod straż oficerom pruskim; lecz w tejże chwili spostrzegł, że uwaga tłumu odwróciła się od niego a wiedząc że jednemu walczyć z nim niepodobna, wpadł do kawiarni i wybiegłszy drugim wyjściem od ulicy Behren, udał się wprost do ambasady francuzkiej. Wiedział także iż świadek był już badany, że w zeznaniach swoich czynił hrabiemu nader ważne i ciężkie zarzuty — których jednak nie sprawdzano nawet — wszakże oskarżyciel był synem wygnańca z 1848 roku!...

— No, odrzekł pan Bodemeyer, więcej już trochę wiemy z depeszy nadeszłych dziś rano. Blind miał przy sobie scyzoryk, którego ostrzem kilka razy poprzecinał sobie gardło; doktór opatrzył rany i uznał, że nie są niebezpieczne. Ale otóż i „Gazeta Krzyżowa" dodał; wychodzi o ósmej rano, dowiemy się z niej czy coś nowego nie zaszło w nocy.

„Kreutz Zeitung!", zaczęli wołać na ulicy roznosiciele tej gazety, której numera w jednej chwili rozchwytane zostały. W Hanowerze panowało równe prawie wrzenie jak wczoraj w Berlinie; biedny ten kraj czuł się już nawpół połknięty przez chytrego, z otwartą paszczą czyhającego nań węża.

Benedykt skinął na roznosiciela i ten przyniósł mu numer gazety.

— Panie Bodemeyer, rzekł, racz pan obiadować dziś ze mną i z pułkownikiem Andersonem w oddzielnym gabinecie, abyśmy mogli rozmawiać swobodnie choćby o polityce. A potem mam do pana prośbę, której nie chciałbym objawić wobec licznych gości w sali jadalnej.

W tejże chwili nadszedł pułkownik Anderson i Benedykt przedstawił ich sobie wzajemnie, gdyż dotąd znali się tylko z widzenia jako obiadujący w jednej rostauracyi.

— Otóż donoszą, rzekł pułkownik Anderson, iż pomimo oznajmienia lekarza, że rany Blind'a nie są niebezpieczne, tenże umarł dziś rano o godzinie piątej. Pewien oficer hanowerski, który o jedenastej wyjechał z Berlina, mówił, że o czwartej rano przybył do więzienia jakiś mężczyzna otulony płaszczem, w kapeluszu z szerokim rondem, zupełnie prawie twarz jego osłaniającem, i okazał nadzorcy rozkaz wyższej władzy, aby go natychmiast wprowadzono do więźnia, z którym chciał się rozmówić. Wpuszczono go do celi w której zastał Blinda ubranego w kaftan, jaki wkładają furyatom. Nikt nie wie co zaszło między przybyłym a więźniem, ale gdy o ósmej rano dozorcy weszli do celi Blind'a, znaleźli go nieżywym. Doktorzy zeznali, że śmierć musiała nastąpić przed czterema godzinami, to jest właśnie od czasu gdy ów tajemniczy nieznajomy opuścił więzienie.

— Ale to nie jest wiadomość urzędowa? zapytał pan Bodemeyer.

— O! nie, odpowiedział pułkownik.

— No, ja, jako naczelny redaktor „Gazety rządowej", mogę wierzyć tylko wiadomościom urzędowym lub „Kreutz Zeitung", rzekł z uśmiechem pan Bodemeyer; zobaczmy co też ona nam przynosi.

(D. c. n.)

ODPOWIEDŹ NA WIERSZ
D-ra Rudolfa Rożniatowskiego,
p. t. „Zagadnienia na poddaszu"
zamieszczonego w Nrze 5 „Tygodnika Mód".

Czyż nie skarbem to marzenie,
Które, gdy nas troska gniecie,
Spędza z duszy smutku cienie,
Słodzi życie w biednym świecie?

Czyż nie święte są te chęci;
Które nas do pracy wiodą,
Choć omylą, dla pamięci,
Są pociechą i osłodą?

Czemże byłby człowiek wszelki,
Wśród ciasnego tego świata,
Gdyby nie ten polot wielki,
Który przetrwa długie lata?

Nieśmiertelna czemże dusza,
Stałaby się w życia kale,
Gdyby nie myśl, co ją zmusza,
O tem szczęściu marzyć stale?

Jedno, co nigdy nie łudzi,
Co zwodnicze targa sieci,
To ten umysł, co się budzi,
Co nauki światłem świeci.

Warto kochać, cierpieć warto,
Warto marzyć na tym świecie,
Pamięć chować niezatartą,
O uczucia cudnym kwiecie.

Eliza Rostworowska.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

XIII.

Zagoryą nazywa się część Chorwacyi leżąca po za górą Zagrzebską, *(Zagora)*; jest to wielka równina mająca 1,500 kilometrów rozległości. Przepływa rzeka Krapina; od północy zamyka ją góra *Iwanczica*, od zachodu *Kostelska gora*, oddzielająca ją od Styryi, od wschodu *Szelm* czyli *Zagrebaska gora*. Jest to najurodzajniejsza, najlepiej uprawiana i najzdrowsza część Chorwacyi, jest także najbogatsza z powodu licznych znajdujących się w niej kopalni.

Grunt nadaje się do wszelkiej uprawy, praktykowanej w strefach umiarkowanych. Udają się tu jaknajlepiej morwy; liczne gatunki jabłek; śliwki, z których przyrządzają *śliwowicę*; len, konopie, ku kurydza i wszelkie gatunki zboża. Wieśniacy najwięcej uprawiają żyto i kukurydzę, jako stanowiące podstawę ich pożywienia. Łąki, rozkładające się nad brzegami Krapiny, dają wyborne pastwiska do hodowli bydła, i życzyćby należało, aby mieszkańcy rzucili się do niej na rozległą skalę, co polepszyłoby ich byt i poprawiło widocznie upadającą rasę bydła.

Od lat kilku zwiększono tu i udoskonalono uprawę winnic, to też wina wyrabiają coraz lepsze i coraz więcej cenione. Zarzucając dawną rutynę, przyswojono sobie nowe sposoby wyrabiania win; winnice także sadzą pod linię a nie bezładnie jak dawniej. Jeźli Chorwacya uniknie plagi filoxery, może kiedyś wzbogacić się wytwarzaniem wielu gatunków win. Dziś już niektóre gatunki jej win mogą współzawodniczyć z węgierskiemi.

Zagorya nie jest zupełnie jednostajną płaszczyzną; pochyla się nieznacznie od gór Ivanszica ku Sawie, szeregiem wzgórz i parowów, czyniących ją podobną do spokojnego morza, którego fale wzdyma lekki wietrzyk; porównanie to jest najzupełniej usprawiedliwione, zwłaszcza jeźli na tę niezmierzoną dolinę spoglądamy ze szczytu którejś z gór ją otaczających. Wtedy to mieszkania panów, przylepione do grzbietów wzgórz, kościoły, oratorya, skromne domki chorwackich wieśniaków, rozrucone po równinie, wyłaniają się z pośród falujących zieleni, jakby białe żagle okrętów przerzynających wody.

Kto raz miał przed oczyma ten cudny krajobraz, pojmie łatwo gorące przywiązanie Chorwatów do swej ojczystej ziemi, oraz zapał historyków i poetów, z jakim opisują jej urok i piękność.

Malownicze krajobrazy gór ją otaczających, głębokie wąwozy, z których wypływają strumienie wpadające do Krapiny, lasy wiekowych dębów, buków, jodeł i kasztanów pokrywających grzbiety Iwanszicy i Szelmu, cieniste gaje, w których mieszkańcy Zagrzebia szukają schronienia podczas letnich upałów, pełne prostoty obyczaje poczciwej ludności, wiernie zachowującej strój narodowy, zjednały Zagoryi nazwę „Szwajcaryi chorwackiej", nadaną jej przez cudzoziemców, która zachowała się i u krajowców.

Posuwając się z biegiem Krapiny, wpadającej do Sawy, pod Zapresic, (stacya kolei żelaznej na drodze ze Steinbrück do Zagrzebia) przebywa się kraj bogaty, ożywiony i urodzajny, pokryty od wschodu ku Waraždin najpiękniejszemi w Europie lasami. W okolicach miasta Krapina znajdują się bogate pokłady *węgla* i *lignitu*, ciągnące się na całem terrytoryum oddzielającem je od Waraždina i Kropijnicy. Najobfitsze pokłady węgla rozciągają się około Rogataz, Krapiny, Radoboï, Golubowacz, Ochara i Bela.

Gdyby kopalnie Radoboï były umiejętnie eksploatowane, możnaby wydobywać z nich bardzo wielką ilość *siarki*. Kopalnie te znajdują się na południowym stoku gór Iwanszica, o godzinę drogi od Krapina. Pokłady marglu i gliny zawierają w sobie 60 do 70% czystej siarki. W roku 1871 zaczęto w Ostrk eksploatować kopalnie i mosiądzu, musiano jednak zaniechać tego z braku potrzebnych środków transportu i komunikacyi. Dla tychże powodów i kopalnie srebra nie mogą być wyzyskiwane! Smutno pomyśléć że takie bogactwa leżą bezprodukcyjnie, skutkiem macoszynego rządu węgierskiego, pozbawiającego ten piękny kraj kolei żelaznych. Zagorya jest najwięcej zaludnioną częścią Chorwacyi; w niej także znajdują się bardzo uczęszczane miejscowości lecznicze: Stubica, Sulinsko, Krapina-teplic, a nieco wyżej, na wschodniej pochyłości gór Styryi, Rohicz.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Maja 1881 r.

Nie szukać prawdy w modzie, rzecz to znana oddawna. Jeźli moda naśladuje czasami prawdę, częściej zato przekształca ją w dziwaczny sposób, dość tu wspomniéć owe potworne krynoliny i turniury, owe piramidalne fryzury, których tak bardzo nadużyto; dość wspomniéć dwucalowe obcasy u bucików, dość wniknąć w tajemnice perfumiarzy i gorseciarek! Lecz dajmy pokój temu; nie naszą rzeczą odgrywać rolę bocianów, wróćmy lepiej do kronikarskiego rzemiosła, zapisujmy wiernie co widzimy. Otóż spostrzegamy właśnie, większą niż kiedykolwiek dążność mody do fałszowania wszystkiego, nawet barw, jakiemi stworzyła je przyroda. Każdy kolor, aby był modnym, musi dziś przyjąć jakiś zwodniczy odcień: biały staje się żółtawo-śmietankowym, lub słomkowym *(crême, blé, mais, ivoire,)* i t. d., popielaty zachodzi w lilla albo błękitny, różowy przybiera barwę ceglastą czyli koralową, błękitny miesza się z zielonkowatym, niby woda jeziora, żółty przyjmuje odcień złota zaśniedziałego, pąsowy staje się jasno-morderowym *caroubier*; szafirowy, aby był modnym, musi przybrać barwę spłowiałą, jak bluza robotnika, lub kaftan marynarza. Francuzi żartują z tego kierunku mody: zowią ją *machiawelską* albo *oportunistyczną*, to jest dwulicową; moda przecież nie zważa na to, i idzie dalej swoim trybem.

W tych to odcieniach widzieliśmy kilka sukien, zakupionych do wyprawy przez panie Kuhnke, i wysłanych prosto ztąd w okolice Kijowa. Opiszemy je po kolei.

Pierwsza suknia atłasowa, do ziemi, w kolorze bladofijołkowym *(violette de Parme)*. U dołu dwie wązkie falbanki plisowane, przód cały zagarnirowany wolantami z koronki i atłasu, idącemi na przemian. Z tyłu wielki puff z muślinu indyjskiego. Stanik muślinowy na atłasie, z przodu wycięty kwadratowo. Na nim upięta chusteczka lilla atłasowa, cała przemarszczana i ogarnirowana koronką w śmietankowym odcieniu; na piersiach wielki bukiet z fijołków parmeńskich. Z lewego boku spada osobna kieszonka atłasowa, na dwóch łańcuchach z fijołków, przytwierdzonych do stanu ametystową broszą.

Druga suknia, wizytowa, z lekkiej tkaniny wełnianej, zwanej *voile de religieuse*, w kolorze stalowo-granatowym. U dołu szeroki wolant, naszyty dwa razy materyą algerską w pasy, przerabianą złotem i jedwabiem w żywych odcieniach. Te pasy kładą się wpoprzecz, tworzą razem drabinkę. Nad wolantem przerzucona w koło draperya z materyi *surah*, w tym samym jak suknia kolorze. Stanik w formie fraczka, ubrany algerską materyą; w tyle na karczku dwa wielkie pukle z tej materyi; dwa inne wybiegają z przodu z pod stanika.

Trzeci kostium z kaszmiru indyjskiego w kolorze śliwkowym. Z przodu spodnicy wolant atłasowy; po trzy fałdy dawane w odstępach. Brzeg haftowany jedwabiem tegoż koloru. Tył cały składa się z wielkiego wolanta i wielkiej nad nim buffy. Boki spodnicy płaskie, haftowane po obu brzegach. Stanik kaszmirowy ma w tyle przedłużone karoczko; przód otwarty na plastronie z marszczonego atłasu.

Wytworny kostium ranny, zapewne na dzień ślubu, składał się ze spodniczki atłasowej błękitnej *(bleu du lac)* i z takiegoż paletociku. U dołu szły trzy plisowane falbanki atłasowe, nadto dwa rzędy plisowanej koronki, przód spodniczki przybrany cały takiemiż wolantami. Paletocik do tego nagarnirowany koronką i puklami z błękitnych wstążek.

Na dorocznej przejażdżce w Longchamp ukazało się mnóstwo nowych kapeluszy, uderzających raczej excentrycznością, niżli wytwornym smakiem. Zapisujemy te dziwactwa dla osobliwości, nie zachęcając bynajmniej do ich naśladowania. Jedne z gazy srebrnej lub stalowej, złożone z główki samej, bez rondka, miały formę rondelków, przybranych z boku marabutową kitką. Śmiejszniejsze jeszcze, z wielkiem spuszczonem z przodu rondem wyglądają jak kocze lub kabryolety i tak je też nazywają. Niczem to jednak wobec tak zwanych kapeluszy *architektonicznych*. Wyobraźmy sobie na głowie jakąś bizantyjską kopułę, lub altanę jaką—jakiś szwajcarski domek, wiatraczek ze szmigami, albo namiocik w paski. Wszystko to jednak widzieliśmy na głowach Paryżanek. Nie mówimy tu wcale o wytwornym świecie paryzkim, tu przeciwnie wielka panuje prostota. Na dowód opisze-

my kilka całkowitych ubrań, które nas uderzyły na zebraniu akademickiem, przy uroczystem wprowadzeniu nowego członka.

— Kostium w kolorze heljotropowym, złożony z kaszmiru indyjskiego i atłasu. Kapelusik słomkowy, nad rondem wpięty wianek z bratków w różnych odcieniach, z pośrodka wybiega egretka złotego koloru, szarfy atłasowe w kolorze heljotropowym.

Drugi kostium czarny jedwabny do ziemi, z atłasu przerabianego w deseń. Wizytka czarna kaszmirowa, objęta frendzlą jedwabną, mieszaną ze złotem, nad frendzlą takaż pasmanterya. Kapotka czarna koronkowa, pióra nakrapiane złotem.

Trzeci kostium z tkaniny wełnianej koloru wydrowego (*loutre)*, objęty atłasem indyjskim w pasy z przewagą złotego koloru. Kapotka koronkowa, ubrana wstążką atłasową do cieniu, od koloru złotego do bronzowego—z boku wpięty bukiet z laku, w rozmaitych odcieniach.

Czwarta suknia, myrtowa, z kaszmiru indyjskiego, kapotka ułożona w ślimak z koronki stalowej, pióro mirtowe z boku.

Piąty kostium z lekkiego atłasu; w kolorze bląd włosów, u dołu wolanciki plisowane. Na to długi surducik z lekkiego sukienka tegoż koloru, z okrągłą pelerynką. Kapotka czarna blądynowa — z boku wpięty bukiet z róż w kilku odcieniach.

Szósty, najstrojniejszy ze wszystkich, kostium koloru srebrnego, z cienkiej wełnianej tkaniny, *voile de religieuse*. Kapotka słomkowa tegoż odcieniu, zdobna koronką srebrną. Z boku róże koloru *caroubier*.

Jako nowość wiosenna, ukazały się płaszczyki jedwabne długie do ziemi, zwane *à la bonne femme*, wolno puszczone w stanie, z rękawami od łokcia do ręki, jak u wizytek. Robią je z gładkiego atłasu czarnego, lub z adamaszku w czarny deseń. Garnirowane są w koło blondyną hiszpańską i pasmanteryą z dżetem. Widzieliśmy też podobne płaszcze pluszowe, w kolorach: ciemno-oliwkowym, wydrowym i śliwkowym, przygotowane do kąpieli morskich, lub do wód na chłodniejsze dni letnie. Na wielkie zaś upały, uważaliśmy podobne płaszcze z koronki czarnej całe zasiane dżetem.

Inną nowość dla młodych osób stanowią długie elastyczne staniki, zwane Jersey. Robiono je w roku zeszłym z trykoty jedwabnej lub wełnianej, w tym roku robią je z siatki sznelowej. Ta sznela, mieszana ze sznurkiem elastycznym, rozciąga się dowoli, i szczelnie przystaje do figury. Stanik zakończony zwykle u dołu frendzlą sznelową.

Uważamy też w magazynach zgrabne mantylki z siatki sznelowej; mniejsze lub większe, stosownie do gustu i wieku osób. Zbyt one ciepłe na lato; widocznie przygotowano je do wód morskich.

W parasolkach tegorocznych wielka uderza rozmaitość. Do wyjścia na ulicę, przyjęte zwyczajne *en tout cas* z materyi lub atłasu. Moda chwyciła się szczególniej parasolików przeznaczonych do przejażdżki powozem. Uważaliśmy bardzo ładny z atłasu fijołkowego, otoczony u brzegu wieńcem fijołków, podbity białą materyą, rączka przystrojona była takimże bukiecikiem i pękiem pukli ze wstążki fijołkowej.

Inny parasolik, czarny atłasowy, podbity atłasem caroubier, przybrany był z wierzchu fantastycznie rzuconą girlandą z maczków polnych. Kokardy caroubier na rączce odpowiadały całości.

Parasoliki przeznaczone na wieś lub do morza, większą jeszcze odznaczają się fantazyą. Widzieliśmy jeden z perkalu japońskiego, bardzo oryginalny. Na każdym brycie odmalowane było słońce na tle ciemno-lazurowem. Inne znów parasoliki *Watteau*, całe zamalowane w kwiaty, albo w obrazki z życia wiejskiego: widzimy na nich pasterki w malowniczych kostiumach z różnych okolic kraju: Prowansalki w cieniu drzew oliwnych; Bretonki w wielkich czepcach, Normandki zbierające muszle nad morzem. Robią także ogromne parasole w tym rodzaju: zaostrzona rączka gruba i mocna, zatyka się głęboko w ziemię. Rozwinięty parasol zastępuje w polu — namiot albo altanę. Paryżanki same zajmują się malowaniem tych parasoli. Rzecz nadzwyczaj łatwa; aby ją wykonać nie potrzeba wielkiego artyzmu. Pierwszy lepszy nauczyciel rysunków wskaże sposób malowania na płótnie i farby odpowiednie do tego. Pięknieby wyglądały na parasolkach dziarskie postacie naszych Mazurów i Krakowiaków. Niech panienki nasze chwycą śmiało za pędzel, a przekonają się o prawdzie przysłowia: *nie święci garnki lepią.*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Powtarzamy za „Nowinami" przekład wierszyka zamieszczony w jednem z humorystycznych pism rossyjskich:

„Niech kto zrobi rzecz nieładną
W jakiejkolwiek części świata,
Niech na pola grady spadną,
We wsi niech się zwali chata,
Czy z postępem idziem śmiało.
Czy cofamy się, jak raki,
Czy nieszczęście gdzieś zagrzmiało,
Katkow krzyczy: „ot Polaki!"

„Chłop podpalił swoje sioło,
Straszny żywioł wszystko niszczy,
Płacz i jęki słychać wkoło:
Z pięknych domów—kupa zgliszczy:
Kto podpalił—wszyscy wiedzą,
Jawne tego są oznaki,
Winowajcy w kozie siedzą—
Katkow woła „ot Polaki!"

„Jatki w Moskwie kipią wrzawą,
Choć niewiedzieć co się stało.
Wnet tu stoczą walkę krwawą,
Z której nikt nie wyjdzie cało.
Ot! *miaśniki* bić poczęli,
Lecą pięście i kułaki,
Po łbach już studenci wzięli:
Katkow ryczy: „ot Polaki!"

„O, tak! mądry jest nasz Katków,
Dobrze zna on swą ojczyznę,
Najpiękniejszy z ruskich kwiatków,
Nie woń sieje, lecz truciznę.
My, na Rusi, tak chcą losy,
Kąsamy się, jak robaki:
Katkow woła w niebogłosy:
„Wiem, kto winien: „ot Polaki!"

L.

+ Wypadkowemu odroczeniu wystawy w Moskwie zawdzięczamy obecnie wystawę w Warszawie, w pałacu Brühlowskim, świetniejszą niż się spodziewano. Otwarcie jej miało miejsce d. 26 z. m. w obec Generał-Gubernatora Warszawskiego, generała Albedyńskiego, przedstawicieli władz, komitetu Muzeum Przemysłowego, oraz licznego grona wystawców i przedstawicieli prasy. Wystawa wywarła wogóle bardzo dobre wrażenie—podamy o niej oddzielne sprawozdanie.

+ W przeszłym N-rze naszego pisma powtórzyliśmy nadesłaną na ręce sympatycznego „Sępa" prośbę rodaków naszych z Piatygorska na Kaukazie, zwróconą do naszego duchowieństwa, aby któryś z kapłanów polskich chciał udać się tam dla zaspakajania religijnych potrzeb garstki naszych rodaków. Zaledwie prośba ta, powtórzona przez wszystkie niemal pisma polskie, doszła do wiadomości naszego duchowieństwa, a zaraz zgłosiło się trzech czcigodnych kapłanów, gotowych poświęcić się dla oddalonych współziomków. Oto co pisze „Sęp" w 277 N-rze „Biesiady Literackiej":

„Nie wątpiliśmy nigdy o gotowości naszego duchowieństwa do apostolskich usług—a jednak zdziwiliśmy się, że i dziś, wśród dążeń przeważnie egoistycznych, wśród ważenia na szali usług oddanych społeczeństwu, znajdują się ludzie gotowi poświęcić nietylko mienie ale nawet osobistą wolność, gotowi opuścić kraj rodzinny, aby nieść pociechę duchową tam... gdzie pociechy tej potrzebują. Na prośbę rodaków naszych w Piatygorsku o duchownego katolickiego, zgłosiło się niebawem do nas trzech już kandydatów, gotowych jechać na Kaukaz. Dwaj z nich, to młodzi duchowni, a jeden to już staruszek, co chce opuścić parafię, którą zarządza od lat dwudziestu, aby złożyć głowę na obcej ziemi, ale wśród utęsknionych... Nie wiemy który ostatecznie, po porozumieniu się z wzywającymi, a następnie po uzyskaniu pozwolenia władzy duchownej i rządu, obejmie stanowisko proboszcza przy katolickim kościele w Piatygorsku,—możemy jednak wszystkim tym rycerzom ducha złożyć wyznanie najgłębszej czci i uwielbienia. Szeregi duchowieństwa katolickiego uszczuplone wprawdzie, ale duch jego nic nie stracił na missyjnej żarliwości.

+ Konkurs ogłoszony przez Akademię madrycką na poemat pochwalny dla Calderona de la Barca; już został rozstrzygnięty — z tego popisu międzynarodowego Polak wyszedł zwycięzko. Komitet sędziów przyznał pierwszą nagrodę, *medal złoty*, ważący sto gramów, za poemat w *języku polskim* p. Platonowi Kosteckiemu ze Lwowa; za poemat w języku czeskim Światopełkowi Czechowi, za poemat w języku węgierskim, Kacprowi Oltwanyi'emu. Nadto laureaci zostali mianowani członkami hiszpańskiej Akademii umiejętności, i otrzymają po kilkaset exemplarzy swego utworu, ozdobnie wydanego.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 20 Апрѣля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PEŁNOLETNOŚĆ PANNY BRIDOT.

PRZEZ

KAROLA DESLYS.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Ucałował ręce matki i przycisnąwszy ją do serca długo trzymał w objęciu; po chwili, jakby nie mogąc powstrzymać wybuchu rozpaczy, zawołał:

— Ach, dzieli nas to krwawe widmo!...

— Raymundzie, odrzekła hrabina z łagodną powagą, to jeszcze nie byłoby nieprzebytą zaporą, bo wszakże Bóg nakazuje nam przebaczać. Nikt nie może odpowiadać za nie swoje winy... Ale na źle nabytem bogactwie pozostaje niezatarta plama dopóki ono w jednem pozostaje ręku; ale są pieniądze które nie powinny były przejść w ręce hrabiego de Bussiéres.

— Podzielam twoje zdanie, droga matko, odpowiedział Raymund, wyjadę za kilka dni.

Jacquemart obecny przy tej rozmowie szepnął do siebie:

— Cóż to za nieszczęście być szlachcicem!... co to za nieszczęście być bogatym!... Użalałem się nie raz że jestem ubogim i dziecięciem ludu, gdy tymczasem powinienbym zawołać z uczuciem głębokiej wdzięczności: Dzięki ci mój Boże! bądź błogosławiony!

Pomimo tej trochę żartobliwej uwagi, poczciwy Jacquemart był szczerze zmartwiony. Kochał Raymunda, kochał Teresę i ubolewał nad tem że oni unieszczęśliwiają się wzajemnie.

Zresztą zdawało się że te sercowe cierpienia uczyniły ich lepszymi jeszcze niż byli. Nigdy dotąd Raymund nie okazywał swemu towarzyszowi tyle życzliwości, tyle przyjaźni... Co do Teresy, zdawało się że miłość, miłość nieszczęśliwa złagodziła jej charakter, uczyniła ją tkliwszą i łagodniejszą. W jej spojrzeniu i uśmiechu było coś prawdziwie anielskiego. Nigdy jeszcze nie była równie piękną jak obecnie.

Posiedzenia w celu wykończenia portretu odbywały się teraz codzień, i zwykle trwały długo; nie dla tego aby Teresa nie miała innego zajęcia, przeciwnie, nawet pozując, zdawała się ciągle pracować myślą. Pan Vauquelin przyjeżdżał często z Paryża i wtenczas spędzała z nim większą część dnia w jego gabinecie; odjeżdżając zostawiał jej jakieś notatki, wykazy, pliki papierów, które przeglądała uważnie i układała systematycznie. Zadawała nieraz Jaquemart'owi pytania dotyczące kursu papierów publicznych, lub też jakie które z nich przynoszą procenta, o czem, jak sam wyznawał, nie miał najmniejszego wyobrażenia. Wszystko to dziwiło go i dawało mu wiele do myślenia. W tym domu czyniono jakieś skryte przygotowania; ale do czego? Nowa zagadka trudna do rozwiązania.

Teresa często także teraz rozmawiała z Henryetą o gospodarstwie, zasięgała jej rady co do wsparcia udzielanego biednym, mówiła nawet o ręcznych robótkach. Pewnego dnia wzięła krzyżową robotę zaczętą przez panią Vauquelin, prosząc aby jej dozwoliła dokończyć ją i sprawić tym sposobem miłą niespodziankę opiekunowi.

Henryeta przycisnęła ją do serca z prawdziwie macierzyńską czułością, z wyrazem głębokiej radości.

— O! Tereso, Tereso! czemuż nie byłaś zawsze taką jak obecnie? Zdaje mi się że teraz jesteś naprawdę moją córką.

— O! gdybym nią była w istocie! gdybym była Teresą Vauquelin...

— Dla czego, moje dziecię?... co chcesz przez to powiedzieć.

— Nic, nic!...

— Czy mam w tem widzieć wymówkę że zostawialiśmy ci zbyt wiele niezależności?

— Tak, odpowiedziała śpiesznie Teresa, obawiając się aby pani Vauquelin nie odgadła prawdziwej przyczyny jej żalu. Mówiąc te słowa myślała: Mogłabym w takim razie zostać żoną Raymunda!

— Tereso, odezwała się wtenczas Henryeta, wymówka twoja jest niesłuszną; wszak to wbrew naszej woli, wbrew naszym usiłowaniom rozwijało się w tobie zamiłowanie do zabaw i zbytku. Przypomnij sobie jakie, trzy lata temu, staczaliśmy o to walki. Odgadywaliśmy co się dzieje w twojem sercu, a nie mogąc ci dać szczęścia cichego, spokojnego, nie chcieliśmy cię pozbawić przyjemności błyszczenia, skoro przywiązywałaś do tego tak wielką wagę. Później opiekun twój zaczął obawiać się o ciebie, widząc cię tak upojoną tą angielską czy amerykańską wolnością, lecz uspokoiłam go. Znałam twój charakter, twój wstręt do wszystkiego coby mogło przynieść ci jakąś ujmę, wiedziałam że posiadasz głębokie poczucie osobistej godności; że należysz do rzędu tych osób które mogą bez niebezpieczeństwa przejść przez ogień, moja ty droga salamandro! słowem że mogłabyś umrzeć, ale upaść nigdy!...

Była chwila, w ktorej nawet obawialiśmy się o twoje życie. Czy przypominasz sobie ten dzień, w którym, gdy opiekun twój chciał położyć tamę twoim fantazyom, odpowiedziałaś mu: Mam lat ośmnaście, będę żądać aby mnie usamowolniono. Tak, rzuciłaś nam tę pogróżkę, niedobre dziecko! a słowa twoje boleśnie dotknęły mnie i mojego biednego męża. Prowadząc podobny proces, a byłabyś nas do tego zmusiła krnąbrna pupilko, moglibyśmy ściągnąć na siebie podejrzenie że pragniemy aby twoje miliony pozostały jak najdłużej pod naszą opieką. Zwyciężając pozostałabyś sama na świecie, pozbawiona życzliwej rady i opieki; zwyciężona, byłabyś gotowa odebrać sobie życie... O! nie zaprzeczaj temu! wyczytałam w oczach twoich myśl o samobójstwie. Teraz można już powiedzieć ci wszystko; reakcya nastąpiła sama przez się, przewidziałam ją, oczekiwałam jej, i dla tego to opiekun twój, stosując się do mej rady, pozostawił ci tyle wolności. Trzeba ci jednak wiedzieć że nigdy, choćby przez godzinę, choćby na jedną minutę, nie przestaliśmy czuwać nad tobą. Nie postąpiłaś jednego kroku tak aby ktoś z nas lub naszych znajomych nie czuwał nad tobą zdaleka. Niekiedy był to mój mąż, najczęściej ja sama. Wszak zaręczyłam za moją Teresą, i gdyby zbytek położonego w niej zaufania stał się powodem jej zguby, nie przeżyłabym takiego nieszczęścia. Ale dzięki Bogu minęło już wszelkie niebezpieczeństwo, uspokoiłaś się sama przez się, jesteś znów tak rozsądną, dobrą, niewymuszoną i szczerą jak byłaś na pensyi. Moja córko uściskaj mnie... Jestem bardzo szczęśliwa!

Teresa rzuciła się w objęcia Henryety z twarzą zalaną łzami.

— O! moja matko! moja matko! przez całe życie nie przestanę wyrzucać sobie że nie zrozumiałam, nie umiałam ocenić jak bardzo mnie kochałaś, i jak starałaś się być dla mnie najlepszą matką.

W kilka minut później nadszedł list z Paryża od pana Vauquelin, który zakończył go temi słowy:

„Przyjadę do was pojutrze, bo pojutrze moja pupilka dojdzie do pełnoletności.”

— Nakoniec! zawołała Teresa.

Prawie jednocześnie oznajmiono margrabiego Bayador. Wszedł do pokoju z jakąś uroczystą miną.

— Pani, rzekł do Teresy, zechciej pozwolić abym wynurzył moje życzenia w obecności pani, czyli raczej abym się zwrócił do niej, skoro w rzeczywistości sama tylko rozporządzasz sobą.

— Proszę mówić, panie margrabio, odpowiedziała Teresa, zażądawszy pierwej spojrzeniem upoważnienia Henryety.

— Interesa nie cierpiące zwłoki powołują mnie do Hiszpanii, powiedział hidalgo, muszę wyjechać jeszcze dziś wieczorem.. i niech mi panie wybaczą moją niecierpliwość, ale chciałbym przed wyjazdem jeszcze dowiedzieć się jaki wyrok usłyszę.

— Wyrok, panie margrabio?

— Tak, wyrok! Od którego zależyć będą dalsze moje plany; proszę więc aby był wypowiedziany stanowczo i otwarcie. Niech pani otworzy przede mną niebo lub też pogrąży mnie na zawsze w rozpaczy, ale niezwłocznie, zaraz w tej chwili! Muszę tego wymagać przez wzgląd na mój honor, na mój majątek... Tak, czy nie!

Łatwo było poznać że to ostatnie pytanie podyktowała mu pełna zarozumiałości pewność że może tylko usłyszeć: tak.

— A więc... nie! odpowiedziała Teresa. Niech mi pan wybaczy, panie margrabio, ale wszakże pan żądał szczerej i stanowczej odpowiedzi.

— A! zawołał zdumiony, a!... doprawdy... to już niezmienne postanowienie?

— Tak niezmienne. Ale nie powinien pan zazdrościć temu któremu daje pierwszeństwo nad panem... za trzy dni wstąpię do klasztoru.

— Aha!

— Może mi pan wierzyć, dodała z wyrazem tak silnego postanowienia w oczach i głosie, że trudno było powątpiewać o jej szczerości. Panie margrabio, bardzo żałuję... ale nie mogę dać innej odpowiedzi.

Wstał usiłując ukryć swoje niezadowolnienie, i ukłonił się w milczeniu, ale stojąc już na progu zatrzymał się i rzekł zwracając się do Teresy.

— Żegnam panią... czyli raczej do widzenia.

— Do widzenia? powtórzyła zadziwiona.

— Ha! kto może przewidzieć przyszłość, odpowiedział z jakąś dumną zarozumiałością i wyszedł.

— Dziwna rzecz, odezwała się Henryeta, w jego spojrzeniu i w dźwięku jego głosu było coś podobnego do groźby. Czy nie dostrzegłaś tego Tereso?

— Nie, bynajmniej. Ale cóż to znaczy, droga matko, że tak obojętnie wysłuchałaś to co powiedziałam margrabiemu? Nie żartowałam bynajmniej, mówiąc, że chcę wstąpić do klasztoru.

— No! no! odpowiedziała Henryeta z pobłażliwym a zarazem przebiegłym uśmiechem, wiesz że nie jestem zbyt gadatliwą i że pokładam w tobie nieograniczone zaufanie. Jak na dziś powiedziałam już bardzo wiele, może aż nazbyt wiele. Trochę cierpliwości!

— Margrabia Bayador wsiadł tymczasem z gniewem do swego powozu, i mruczał zakręcając niecierpliwie wąsy:

— Ho! ho! moja piękna pani, nie uznaję się jeszcze zwyciężonym! Pan Bonami obiecał mi, że potrafi uczynić cię łaskawszą dla mnie. Teraz kolej na niego. . tylko muszę mu zostawić swobodę działania.

IX.

Pan Bonami siedział przy zielonym stoliku w trouvilskim salonie; szczęście mu sprzyjało, bo nie chcemy czynić niekorzystnych dla niego przypuszczeń, gdy margrabia Bayador spotkał nakoniec jego spojrzenie, na które już od kilku minut czekał nadaremnie, i skinął na niego nieznacznie.

Były obrońca wstał prawie natychmiast od stolika zgarnąwszy pieniądze, i opuścił salę przeznaczoną dla grających w karty.

Przeszedł koło margrabiego Bayador jak gdyby nie znał go wcale, pomimo to szepnął mu do ucha:

— Proszę pójść za mną.

Poszedł ulicą nadbrzeżną, a przebiegłszy ją zwrócił się na drogę wiodącą do Touques, ale wkrótce skręcił na lewo i puścił się dalej dróżką wązką i podobną do wąwozu. Koło niej wznosił się mały samotny domek; Bonami wyjął klucz z kieszeni, otworzył drzwi i zapalił świecę.

W kilka minut później margrabia wszedł do pokoju.

Zamknęli starannie drzwi i okiennice przystające tak szczelnie że najmniejszy promyczek światła nie wydobywał się nazewnątrz. Domek zdawał się całkiem niezamieszkany, a zresztą stał na takiem pustkowiu, że nie trzeba się było obawiać ciekawości przechodniów lub sąsiadów.

Bonami wprowadził swego gościa do saloniku urządzonego z tą tandeciarską wystawnością, którą tak w Trouville jak wszędzie odznaczają się trzeciorzędne mieszkania.

— I cóż, rzekł Bonami siadając naprzeciwko margrabiego, i cóż, małżeństwo przyjdzie do skutku?

— Gdzie tam! Powiedziała że chce wstąpić do klasztoru.

— Panie margrabio, gdy sześć miesięcy temu miałem zaszczyt spotkać pana w Homburgu, przegrałeś summę bardzo znaczną nawet dla milionera. Z tego powodu chciałeś pan sprzedać część swoich ziemskich posiadłości, to jest uwiadomić wszystkich o złym stanie swych intresów; powstrzymałem pana od tego przyrzekając że je doprowadzę napowrót do pierwotnej świetności; 1, za pomocą pewnych mnie tylko znanych, obrotów finansowych, 2 przez ożenienie się pana z panną Bridot, o której istnieniu nie wiedziałeś wcale. Wszakże wszystko co powiedziałem jest zupełnie zgodne z prawdą, panie margrabio?

— Rzeczywiście, i trudnoby mi było zaprzeczyć panu; ale wyznaję że dotąd nie mogę zrozumieć co pana skłoniło do oddania mi tej przysługi i...

— Przyjdzie czas, w którym pan margrabia zrozumie to dokładnie. Teraz zajmijmy się ważniejszemi sprawami. Dał mi pan słowo, że jeżeli do 17 września, to jest do wilii dnia, w którym panna Bridot dochodzi do pełnoletności, osobiste przymioty i powaby pana nie zdołają mu zjednać jej serca, będzie mi wolno zapewnić panu szczęście, za pomocą środków jakie uznam za właściwe. Otóż dziś właśnie mamy 17 września.

— Nie przeczę; ale czemu ukrywać przedemną jaką drogą zamierza pan dojść do celu?

— Wszak pan margrabia dał mi słowo że nie będzie mi zadawał żadnych zapytań, w razie gdy mi przyjdzie działać na własną rękę. Tak czy nie, panie margrabio?

— Tak; ale.....

— Czy pan wierzy w moje zdolności i szczerą chęć poprawienia interesów pana?

— Bez wątpienia. Chociaż wyznaję że nie wiem czemu to mam przypisać.

— Czy pan margrabia chce lub nie chce ożenić się z panną Bridot?

— Czy chcę! to jest....

— W takim razie, pan margrabia zechce udać się jutro wieczorem na wskazane mu dawniej miejsce, a co do reszty spuścić się na mnie.

— A więc do jutra... skoro już muszę koniecznie iść za panem z zawiązanemi oczyma.

— Tym sposobem najprędzej pan margrabia dojdzie do celu. Tylko trzeba być ostrożnym; niech pan margrabia przyjdzie tam około siódmej wieczorem, ale drogą boczną wskazaną panu przez Bouquaille'a. Teraz muszę już pożegnać pana i zająć się niezbędnemi przygotowaniami.

— Jakże jesteś gorliwym!

— Chciałbym jak najprędzej widzieć pana szczęśliwym zupełnie!

— Doprawdy, panie Bonami, nieoceniony z ciebie człowiek! Możesz być pewnym że potrafię wypłacić się z zaciągniętego...

— Nie wątpię o tem, panie margrabio! odpowiedział Bonami z ironicznym uśmiechem, nadającym tej odpowiedzi jakieś skryte znaczenie.

Następnie gdy już pozostał sam, zawołał z wyrazem najżywszego zadowolnienia:

— Otóż mam już jednego! z drugim zaś pójdzie mi jeszcze łatwiej!

Udał się na pierwsze piętro, otworzył okno, które z tej strony wychodziło na pole i znajdowało się prawie na równi z ziemią, i zaczął naśladować śpiew czeczotki.

Prawie natychmiast wynurzyła się z ciemności głowa Eustachego Gorju, zwanego Dzikiem.

— Wejdź! zawołał Bonami.

Gorju za jednem podskoczeniem dostał się na środek pokoju.

Bonami zamknął okno, a następnie zapytał wspólnika:

— Czy przynosisz mi to, o co Bouquaille miał się postarać?

— Kilka wierszy napisanych ręką tego pana... Oto są.

Bonami pochwycił papier, zbliżył się do stolika, przysunął świecę, zdjął zielone okulary, które jak się zdaje musiały mu przeszkadzać tylko.

Patrzył długo i uważnie na pismo Raymunda, zmienił kilka piór, dopóki nie znalazł odpowiedniego, odrzucił kilka ćwiartek papieru na których nie udało mu się dobrze naśladować pisma pana de Bussières, a nakoniec zawołał z wyrazem głębokiego zadowolnienia:

— Wybornie! mogę sobie przyznać że posiadam niezaprzeczony talent!

Gorju tymczasem włożył ręce w kieszenie i przyglądał się sztychom wiszącym na ścianach.

— Dzięki, zawołał Bonami, czy jesteś pewnym że ci się zamiar twój powiedzie?

— Mogę za to zaręczyć. Zawsze o jednej godzinie przejeżdża konno przez las; ja i Bouquailles będziemy czatować na nią w gęstwinie. Przystąpię do niej z listem w ręku; jeżeli da się z łatwością wyprowadzić w pole, wszystko pójdzie jak z płatka, jeżeli zaś przeciwnie zechce się wzdragać i odjechać, będę miał w kieszeni nóż i zabiję konia, amazonce zaś związę ręce i zatkam usta. Wszystko to nie wiele zajmie nam czasu. Bouquaille podejmuje się tak samo postąpić z groomem, tylko że zostawimy go następnie w krzakach, ją zaś zaniesiemy tam gdzie potrzeba. Ale pamiętaj pan abyś się nie spóźnił; chcąc aby nam się powiodło, musimy działać bardzo śpiesznie.

— Możesz się spuścić na mnie, odpowiedział Bonami. Oto jest list, nie zgub go czasem. Do widzenia, jutro wieczorem.

Dzik wyszedł tąż samą drogą którą przyszedł, to jest przez okno, a w parę minut później Bonami rozbierając się mówił do siebie:

— Wszystko idzie dobrze!... Nakoniec, nakoniec będę bogatym! Nie jestem przecie tak starym jeszcze... Mogę się ożenić bogato i być szanowanym przez moich współobywateli... Jednak, gdyby się to nie udało? Ba! margrabia będzie mi służył za puklerz... Zresztą podobne przewinienia nie pociągają za sobą kar głównych... może nawet są sposoby uniknięcia wszelkiej odpowiedzialności. Zobaczmy co o tem mówi księga z pięcio-kolorowemi brzegami.

I w miejsce wieczornej modliwy zaczął przeglądać Kodeks, którego stan opłakany dowodził że służył już przez wiele lat, i że często zasięgano jego rady.

X.

Nazajutrz wieczorem Paweł Vauquelin przybył z Paryża do Bussières, i rzekł wesoło, wchodząc do pokoju w którym znajdowała się jego żona:

— Dobry wieczór, Henryeto... Gdzież jest Teresa.

— Nie wiem, mój drogi, i nawet zaczyna mnie to niepokoić. Zwykle w tym czasie jest już w domu.

— A! nasza śmiała amazonka nie chciała się wyrzec dziś nawet swej konnej wycieczki. Ale dla czego nie pojechałaś z nią razem?

— Wiesz, że zwłaszcza od pewnego czasu, woli jeździć sama. Dziś namawiałam ją nawet aby nie wyjeżdżała wcale, lecz odpowiedziała mi uśmiechając się mile, że musi dowieść przecie że jest już panią swej woli.

— Doprawdy, nie może ją to cieszyć więcej niżeli mnie. Ta opieka była dla mnie ciężką, bardzo ciężką: ale, dzięki Bogu, kończy się zaszczytnie dla nas wszystkich.

Rozmawiali z sobą przeszło kwadrans jeszcze, ale Henryeta niepokoiła się coraz więcej. Było już zupełnie ciemno a Teresa nie wracała.

— Nie mogę dłużej usiedzieć spokojnie, zawołała pani Vauquelin, przeczuwam jakieś nieszczęście!

— Niepotrzebnie dręczysz się takiemi myślami, odpowiedział Vauquelin. W każdym razie możemy wyjść naprzeciwko niej... a co więcej z pochodniami dla uczczenia dnia jej urodzin i pełnoletności. Będzie to coś niezwykłego, a więc sprawi jej przyjemność.... Hej! Janie, Grzegorzu!

W kilka minut później państwo Vauquelin byli

już na drodze wiodącej do lasu; a przed nimi dwóch służących niosło latarnie przymocowane na końcach kijów.

Drzewa szumiały ponuro, wiatr przeciskając się między konarami jęczał żałośnie. Nietoperze krążyły koło latarni. Puhacz zerwał się nagle z drzewa, wydając swój krzyk złowrogi.

— Idźmy prędzej! zawołała przerażona Henryeta, idźmy prędzej!

Vauquelin przyśpieszył kroku; niepokój i przestrach żony zaczął oddziaływać na niego.

O kilka kroków dalej potrącił nogą jakiś przedmiot, który błyszcząc potoczył się dalej.

Schylił się i podniósł go. Była to szpicruta.

— Szpicruta Teresy!

— Widzisz że miałam słuszność! zawołała Henryeta.

— Widzę... że nie dowodzi to jeszcze niczego, i...

— Czy słyszysz?

Jęk boleśny, straszny, dziwny, który przejął dreszczem wszystkich obecnych, dał się słyszeć nad brzegiem trzęsawiska znajdującego się niedaleko.

— To śmiertelne chrapanie konia, odezwał się jeden ze służących, wysłużony żołnierz.

— Pobiegł do trzęsawiska, a pan Vauquelin pośpieszył za nim. Na brzegu bagna, pod krzakami, leżał koń Teresy miotany konwulsyjnem drganiem.

Stary żołnierz pochylił się ku niemu przyświecając sobie latarnią. Z głębokiej rany w karku płynęła krew obficie.

Teraz Vauquelin podzielał wszelkie obawy żony. Przewidywał coś strasznego.

— Gdy wchodzili na wzgórze zarosłe drzewami, usłyszeli znów w głębi lasu jakieś głosy, ale teraz była to wesoła nóta piosenki Beranger'a *Les Gueux*.

— Chodźmy tam! zawołał Vauquelin, to ulubiona piosenka Jacquemart'a, to głos jego. Przybywa z przeciwnej strony, może nam da jakieś objaśnienia.

Przyśpieszyli wszyscy kroku; śpiewający zdawał się także zbliżać ku nim śpiesznie, i w kilka minut później spotkali się z sobą na rozdrożu, pod olbrzymiemi bukami.

Obok Jacquemart'a szedł Raymund, a za nim jeszcze ktoś trzeci. Podobne spotkania pożądane lub niepożądane, zdarzają się daleko częściej w rzeczywistości niżeli w powieściach.

Artyści przyprowadzili z sobą grooma Teresy. Idąc przez las znaleźli biednego chłopca skrępowanego, z zakneblowanemi ustami, umierającego prawie ze strachu i zimna.

Biedak był tak przerażony że nie był w stanie odpowiedzieć na ich pytania. Zdaje się że brał ich także za rozbójników, i sądził że wpadł ze Scylli w Charybdę. Dopiero gdy pan Vauquelin przemówił do niego, odzyskał mowę i przytomność umysłu.

Artyści dowiedzieli się o zniknięciu, czyli raczej porwaniu Teresy dopiero z jego odpowiedzi, i pytań zadawanych mu przez pana Vauquelin i Henryetę.

Z piersi ich wydobył się jednocześnie okrzyk, ale w krzyku Jacquemart'a było więcej przestrachu, a krzyk Raymunda zdradzał silny niepokój i oburzenie.

Chcieli natychmiast rozpocząć poszukiwania, przebiedz las i okolice.

— Wybadajmy pierwej tego biedaka, rzekł Vauquelin, może się czegoś dowiemy.

Groom nie widział i nie przypominał sobie nic prócz tego, że jakiś człowiek zbliżył się do jego pani i oddał jej list, a nie długo potem przyskoczył do niej z nożem w ręku, i że jednocześnie drugi zbój ściągnął go z konia, zakneblował mu usta, zasłonił mu oczy, skrępował i rzucił go w krzaki.

Wspomnienie o liście zwróciło głównie uwagę adwokata.

— Czy pani twoja przeczytała ten list? zapytał.

— Tak, panie.

— Głośno, czy też półgłosem?

— O! nie, zupełnie cicho.

— Czy była zadowolniona, czy też rozgniewana?

— Z początku zdawała się bardzo zadziwiona, a następnie bardzo szczęśliwa.

— A! i nie powiedziała nic, ani jednego słowa?

— Aha! przypominam sobie teraz! Kiedy dojeżdżałem do tego miejsca, w którem się pani zatrzymała, usłyszałem że zawołała...

— Co takiego?

— Raymund!

Oczy wszystkich, nie wyłączając Jacquemart'a, zwróciły się nagle na Raymunda, który w tem spojrzeniu dojrzał jakiś cień podejrzenia.

— A! zawołał z wyrazem najgłębszego oburzenia, czy ktoś może mnie posądzić o wspólnictwo w tak nikczemnej sprawie?

— Nie! nie, nigdy! odpowiedzieli jednocześnie Jacquemart i Vauquelin.

Po chwili namysłu adwokat dodał:

— Trzeba natychmiast rozpocząć poszukiwania.. przebiedz las, nawet dalsze jego okolice... znaleźć kogoś lub coś takiego coby nas wprowadziło na ślad jakiś.

— Chwilkę cierpliwości, zawołał Jacquemart, jakby natchniony jakąś myślą; wszystko mi się zdaje że wkrótce przyprowadzę tu tego kogoś. Hej chłopcze! czy panna Teresa zabrała z sobą Boba?

— Nie, panie; a biedny pies skomlał tak żałośnie gdyśmy odjeżdżali, jakby przeczuwał co nas spotka w drodze.

Jacquemart pobiegł do pałacu jak tylko usłyszał pierwsze słowa odpowiedzi.

— Wrócę najdalej za pół godziny, zawołał biegnąc, i przyprowadzę Boba!

— Grzegorzu, odezwał się adwokat do jednego ze służących, pobiegnij za panem Jacquemart, przynieś nam strzelby, i każ aby nam tu przysłano powóz. Śpiesz się!

Dla wszystkich pozostałych każda minuta czasu wydawała się długą jak rok cały.

Raymund nie mógł ustać na miejscu, szukał śladów na ziemi, przetrząsał krzaki. Doszedł tym sposobem do wielkiego krzaka, którego gałęzie z jednej strony były połamane i gwałtownie przygniecione do ziemi zapewne ciężarem jakiegoś wozu, którego koła zostawiły podwójny ślad na wilgotnej ziemi; znać było że wóz zatrzymał się przy krzaku, a następnie zawrócił i pojechał ku wschodniej części lasu.

Prócz tego Raymund dostrzegł i zwrócił na to uwagę pana Vauquelin że wóz był zaprzężony w jednego konia gdy zatrzymał się przy krzaku, a we dwa pojechał dalej.

— Nic dziwnego, odezwał się groom, ukradli mojego konia i zaprzęgli do wozu.

Jacquemart ukazał się nakoniec wraz z Bobem którego trzymał na smyczy.

Zmyślny pies przybiegł do krzaka, zdawał się szukać kogoś między gałęziami, obwąchał ziemię, stanął nagle i zaszczekał wesoło.

Raymund wziął z rąk służącego latarnię i pochylił ją ku ziemi.

Tuż koło Boba, na brzegu wilgotnej ścieżki, spostrzegł ślad nogi Teresy.

— Wiedziałem dobrze iż mój przyjaciel Bob jest bardzo rozumnym pieskiem. Dalej Bobie, prędko! szukaj pani!... Prowadź nas... pokaż nam drogę!

Zdawało się że pies zrozumiał go doskonale, bo pobiegł naprzód, poszczekując czasem, ale nie zatrzymując się nigdzie, jakby był pewnym że wybrał dobrą drogę.

— Widocznie, odezwał się Vauquelin, uwieźli ją na jakimś wózku, a ślad kół wskazuje nam w którą stronę, ale przy pomocy Boba znajdziemy ją prędzej. Zaczekaj tu Henryeto dopóki powóz nie nadejdzie, i...

— Nie! zawołała z żywością, idzie tu o moją córkę! chcę jej szukać razem z wami!

Odeszli więc wszyscy z wyjątkiem grooma, który miał zaczekać na powóz i wskazać stangretowi w którą stronę ma jechać.

Może w pół godziny później, dostrzeżono na lewo od drogi, wózek ukryty za stertą chrustu.

— To wózek Bouquaille'a, powiedział Raymund, i zwrócony przodem ku drodze prowadzącej do jego fermy. Co to znaczy?

— Nic, jak się zdaje, odpowiedział Jacquemart. Bob zawrócił się na prawo; biegnie dalej w las. Oj! oj! dostaliśmy się między same ciernie i głogi!.. Ścieżka! tak, Bob znalazł ścieżkę, i biegnie nią dalej, pójdźmy za nim!

Vauquelin szedł zaraz za Raymundem trzymającym ciągle latarnię spuszczoną ku ziemi.

— Patrz pan! rzekł adwokat, znów widać takie ślady jakie dostrzegliśmy przy krzaku, podkute trzewiki... jakieś obówie prawie bez podeszwy...

— A tu, zawołał artysta, ślady małych nóżek panny Teresy! Ale jakim sposobem...

— Widać że nie chciała zezwolić aby ją nieśli, aby jej się dotykali! odpowiedziała Henryeta.

Weszli na wzgórze zarosłe bardzo gęstym lasem; spuścili się w dolinę całkiem pogrożoną w cieniu; następnie dostali się w tak gęste zarośla że z trudnością przedzierali się przez nie.

Nagle Jacquemart stanął jak wryty. Bob zerwał sznurek na którym prowadził go ciągle, i zaczął biedz tak prędko że nie podobno było podążyć za nim.

Zaczęto już naradzać się co czynić dalej, gdy szczęściem Jacquemart dostrzegł przy świetle księżyca Boba przebiegającego szybko jak strzała polankę przerżniętą strumieniem, nad którym rosły trzy wielkie piramidalne topole.

Uderzył się w czoło, i zawołał z radością:

— Eureka! teraz zgaduję! wiem! widzę jak na dłoni! Nie potrzebujemy już Boba, ja go zastąpię... Chodźcie za mną!.. do starego młyna! koło stawu Mont-Saint-Jean!

Pobiegł naprzód a wszyscy pośpieszyli za nim.

Czy przynajmniej nie przybędą zapóźno?

XI.

Jacquemart nie mylił się: Bouquaille i Gorju uprowadzili Teresę do starego młyna, a następnie zamknęli ją w ciemnej izbie, gdzie całą godzinę przesiedziała sama jedna.

Okno było zabite deskami, i tylko przez szparę widziała kawałek nieba, parę drzew poruszanych wiatrem, i wodę połyskującą przy świetle księżyca.

Żaden głos ludzki nie dochodził do niej; tylko las szumiał, i niekiedy plusnęła woda, skoro wiatr strącił w nią suchą gałęź z drzewa.

Nareszcie usłyszała tentent kroków szybko zbliżającego się konia, a wkrótce potem otworzono drzwi.

Najpierw ukazał się w nich Bouquaille z latarką w ręku.

Teresa znała go już, jak wiemy, to też zrozumiała dla czego patrzy na nią z taką nienawiścią i z tak złośliwem zadowolnieniem; ale zadrżała pomimowolnie spostrzegłszy zupełnie jej dotąd nieznanego Dzika, który stanął przy drzwiach z nożem w ręku.

Następnie wszedł Bonami. Teresa widziała go także pierwszy raz w tej chwili. Były obrońca ubrał się bardzo starannie, miał na sobie czarny frak, krawat zupełnie biały i złote okulary; można go było wziąść za notaryusza z prowincyi udającego się na wieczór do podprefekta.

Milcząc wydobył z kieszeni dwa posrebrzane lichtarze, obsadził w nie świece różowego koloru, i zapalił je pachnącemi zapałkami. Słowem starał się wystąpić z pewną okazałością.

— Widzę, rzekła Teresa zwracając się do niego, że pan jesteś tu przewodniczącym, proszę mi więc powiedzieć co znaczy ta napaść? czego żądacie ode mnie?

— Niech pani zechce wybaczyć, odpowiedział grzecznie Bonami, jeżeli zamiast odpowiedzieć na to pytanie wskażę osobę, która pragnie mieć zaszczyt udzielenia pani wszelkich co do tego objaśnień.

Mówiąc to odsunął się trochę, i wskazał ręką czwartego wspólnika, stojącego za nim w postawie wyrażającej silne zakłopotanie.

— Pan margrabia Bayador! zawołała Teresa z wyrazem głębokiego zdumienia.

— Który błaga pani pokornie o przebaczenie za ten postępek, trochę gwałtowny, do którego zmusiła go pani swoją odmową, niweczącą jego najdroższą nadzieję.

— Jakto! więc to pan...

— Tak... to jest nie... nie zupełnie... wybąkał margrabia starając się ukryć swoje pomieszanie; to ten nieoceniony pan Bonami, wiedziony szczerą przychylnością dla mnie...

Bonami ukłonił się.

— Sam może nie ośmieliłbym się na to, ale pozwoliłem mu użyć środków jakie tylko uzna za właściwe... a teraz byłoby z mej strony szaleństwem zrzekać się korzyści wynikających z tego śmiałego i romantycznego kroku, któremu zawdzięczać będę szczęście całego życia mojego.

— Jakimże to sposobem, panie margrabio?

— Czy pani nie rozumie że teraz będzie zmuszona zostać margrabiną Bayador?

— Ja! żoną pana!...

— Bez wątpienia. Zechciej się pani zastanowić nad tem. Sądzę że pani nie będzie chciała zmusić mnie do tego abym tu panią więził przez kilka lub kilkanaście dni, ponieważ nie zmieniłoby to w niczem położenia pani; najlepiej więc będzie gdy pani da mi słowo że pójdzie za mną spokojnie, bez oporu. Mój powóz czeka na nas; pojedziemy nim bocznemi drogami do mojej ślicznej willi, znajdującej się na połowie drogi do Paryża. Gdy już tam będziemy, doniosę o wszystkiem panu Vauquelin, który, jak mi się zdaje, bardzo sobie życzy aby małżeństwo nasze przyszło do skutku, a zatem nie potępi środków które uczyniły je niezbędnem; tym więcej, że w razie potrzeby mógłbym rozpuścić wieści o tem naszem spotkaniu w nocy, w miejscu odludnem i nadać mu pozór sentymentalny, co ze względu na mój tytuł, wiek i... powierzchowność, wydawałoby się każdemu bardzo prawdopodobnem.

— Jakto! więc pan byłby zdolnym uczynić coś podobnego?

— Tak, ale w takim jedynie razie gdyby pani oporem swoim przywiodła mnie do rozpaczy. Zechciej mi pani przyrzec swą rękę, zezwolić na ogłoszenie zapowiedzi, a nie dowie się o tem nikt prócz pani opiekuna.

— Czy moj opiekun nic jeszcze nie powiedział panu?

— Nic takiego, coby mogło przeszkodzić ziszczeniu się moich najdroższych nadziei.

— Czy tak!

Czarne oczy Teresy błysnęły ogniem. Może zdoła się jeszcze ocalić.

— I cóż? zapytał Bayador, tak ucieszony zwycięztwem że nie dostrzegł lub nie zrozumiał tej nagłej zmiany w wyrazie twarzy Teresy.

— A więc.... rzekła Teresa, jakby ulegając konieczności, a więc, panie margrabio, skoro postawiłeś mnie w takiem położeniu że nie mogę odmówić, skoro tylko przyrzekając panu moją rękę, mogę uchronić się od krzywdzących mnie wieści... widzę się zmuszoną dać to przyrzeczenie.

— O! to jeszcze nie dosyć! zawołał margrabia. Niech mi pani przysięgnie że zostanie moją żoną, i to o ile można najprędzej.

— Przysięgam, że jeżeli to małżeństwo nie przyjdzie do skutku, to nie dla tego abym ja złamała słowo.

— O! w takim razie jest tak pewne, jak gdyby zostało już potwierdzone przez wszystkich alkadów na całym świecie.

— Kto wie!... Ale pojmuje pan zapewne że chciałabym oddalić się ztąd jak najprędzej.... chodźmy!

— Chodźmy, powtórzył hidalgo; podał rękę przyszłej margrabinie Bayador, i zwrócił się ku drzwiom.

Bouquaille i Gorju zastąpili mu wtenczas drogę, a Bonami zawołał:

— Nie tak śpiesznie, panie margrabio... proszę zostać.

— Hę? zapytał Bayador. Co pan mówi? Co znaczą te żarty?

— Nie jest to żart bynajmniej, odpowiedział Bonami. Panna Bridot doszła dziś do pełnoletności, a zatem jej podpis jest ważnym. Otóż panowie Gorju, Bouquaille i Bonami postanowili prosić ją aby się podpisała.

Bayador domyślił się teraz że wpadł w łapkę i zawołał:

— Chcecie dopuścić się zdzierstwa, zmusić ją do podpisania wam rewersu!

— A! za kogóż nas bierzesz, panie margrabio, odpowiedział z chytrym uśmiechem Bonami. Żądamy tylko zatwierdzenia wierzytelności. Nieboszczyk Bridot był naszym dłużnikiem, ale ponieważ nasze dowody nie są zupełnie dostateczne, pragniemy aby panna Bridot..

— W takim razie powinniście zwrócić się prosto do mnie, przerwał z dumną zarozumiałością Bayador. Mogę już poniekąd uważać się za jej męża; a teraz, kiedy jej grozi niebezpieczeństwo, uważam sobie za obowiązek...

— Nie przeczę temu bynajmniej, odpowiedział Bonami; co więcej rachowaliśmy nawet na to że pan podpisze się także.. abyśmy mieli większą pewność odebrania.

— Jakto! ośmielacie się wymagać....

— Zechciej zastanowić się nad tem, panie margrabio, że jeżeli panna Bridot jest w naszej mocy, to głównie dzięki twojemu wspólnictwu z nami; że w razie gdyby nas tu wyśledzono, zostałbyś równie jak my aresztowanym i skazanym za napaść na publicznej drodze i rozmyślne porwanie gwałtem osoby wolnej. Nie targuj się więc, panie margrabio, to nie przystoi tak wielkiemu panu, a nadewszystko śpiesz się.

Margrabia ocenił jak widać logiczność tego dowodzenia, bo zwrócił się do Teresy, która od początku tej sceny zajęła swe dawniejsze miejsce, i siedziała z głową wspartą na ręku, obojętna i nieruchoma.

— Skoro idzie tylko o pieniądze, rzekł, a sądzę że summa nie musi być znaczną... może lepiej będzie ustąpić...

— Nigdy! odpowiedziała zimno i stanowczo Teresa, za pomocą gwałtu i groźby nic ode mnie otrzymać nie można.

— Pozwoli pani że najprzód wykażemy jej nasze prawa, odezwał się z chytrym uśmiechem Bonami, może następnie potrafimy dojść do tego że je pani uzna i zechce się podpisać.

— Na to są tylko dwa sposoby, odpowiedziała dumnie; przemówić do mego przekonania lub też do litości.

Potem zwróciła się nagle do byłego obrońcy i dodała zmierzywszy go tak pogardliwem spojrzeniem, że mimowolnie spuścił oczy.

— Przedewszystkiem, mój panie, chciałabym wiedzieć jakim sposobem możesz sobie rościć jakieś prawa i upominać się o ich zatwierdzenie? Mam spisane nazwiska tych wszystkich którzy mieli jakieś pieniężne stosunki z moim ojcem, ale pomiędzy nimi nie było nigdy nazwiska pana.

— Tak, nie było nigdy mojego, ale są nazwiska dziesięciu innych, którzy mi odprzedali swoje wierzytelności. Zaraz pani przedstawię moje dowody.

Mówiąc to położył na stole kilka kopert z papierami, z których każda była związana wstążeczką innego koloru.

Bouquaille idąc za jego przykładem, wyjął z kieszeni jeden z tych pożółkłych już papierów opatrzonych stemplem, jakie można znaleźć w chacie każdego Normandczyka.

— Mnie należy się dziesięć tysięcy franków, nie licząc w to procentów. Co do mego syna... co do mej żony...

— O! wiem! wiem! zawołała Teresa, jesteś tu przedstawicielem rozpaczy, obłąkania, śmierci... i byłabym ci chętnie dała wszystko czegobyś żądał. Przeczuwam że w tych papierach odkupionych prawdopodobnie za dziesiątą część ich wartości, mieści się wiele bardzo nieszczęść, łez i nędzy... Ale jak się nazywa ten człowiek który stoi tam przy drzwiach i patrzy na mnie z wyrazem tak nieubłaganej nienawiści? Cóż on tu przedstawia?

— Ja, odpowiedział Dzik ochrypłym głosem, nazywam się Eustachy Gorju.., a przedstawiam galery!... Byłem pracowitym robotnikiem, zebrałem trochę grosza i zamierzałem się ożenić... Na nieszczęście, byłem tak głupim że powierzyłem całe moje mienie Józefowi Bridot, który następnie przywłaszczył je sobie! Najprzód, dla pocieszenia się zacząłem pić, następnie kradłem, abym pić miał za co! Może kiedyś skończę na rusztowaniu, a cała za to wina spadnie na twego ojca, na ciebie, moja piękna pani!

Teresa zasłoniła ręką oczy usłyszawszy te słowa, a krzyk zgrozy i przerażenia wydarł się z jej piersi.

(D. n.)

Opis do N-ru 19.

(*Dokończenie*).

Stanik z gładkiego materyału zakończony z tyłu baskiną frakową, ma przody oryginalnie wycięte, przypominające noszone dawniej żurawki i dopełnione długą kamizelką, z tego co draperya materyału ściętą bawetowo.



N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną.



N. 1. Serwetka z kolorowym haftem ściegiem płaskim i sznureczkowym. Deseń na arkuszu Fig. 74—75.

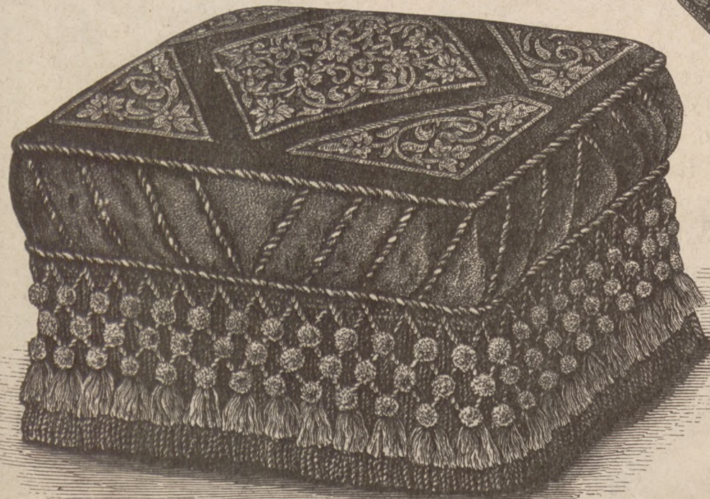
Frendzla przy tunice liczy 10 cent. szerokości.

N. 30. Suknia z tuniką podpiętą à panier.

Odrobiona z ciemno-ponsowego kaszmiru i atłasu tegoż koloru, a przybrana sznelową frendzlą. Długa tunika podpinana z tyłu, z przodu szeroko rozchodząca się jest w górze zfałdowana à panier i spięta kokardą. Przód sukni odsłonięty przez otwarcie tuniki dany z atłasu, przemarszczonego w bufki po 6 cent. szerokie; u dołu sukni dane dwie plisowane falbanki po 5 cent. szerokości. Tunika oszyta plisą z szeroką atłasową wypustką. Stanik z baskiną, z boków krótko podcięty, z przodu przedłużony bawetowo ma plastron atłasowo przemarszczony w drobniutkie bufeczki. Kwadratowy wykrój szyi ogarnirowany koronką, dopełniony jest stojącym w górę kołnierzem. W rękawach dodane są atłasowe bufeczki, wszyte w przecięcia po 15 cent. długie. Przy staniku kokarda z atłasu wziętego podwójnie.



N. 5. Czwarta część deseniu do ryc. 4. Aplikacya.



N. 4. Taboret ozdobiony aplikacyą. Patrz ryc. 5 i Fig. 34.

N. 31. Kapelusz okrągły słomkowy.

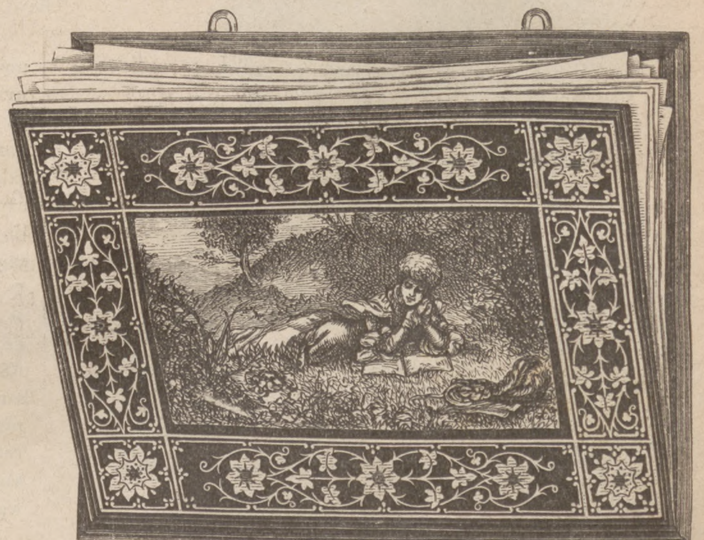
Kapelusz z cienkiej angielskiej słomki ma rondo podszyte ponsowym aksamitem, przysłoniętym słomkową koronką. Główkę opasuje skos ponsowego atłasu, przepięty z boku złoconemi agrafkami; przybranie stanowią pióra strusie cieniowane od ponsowego do blado-różowego cieniu. Przód kapelusza przedstawia ryc. 3.



N. 3. Suknia z frakowym stanikiem.

N. 32. Kapotka jedwabna.

Mięsista, ciemno-bronzowa materya surah stanowi pokrycie kapotki, której główka przemarszcza się drobniutko podług ryc. 32. Na końce do wiązania 76 cent. długie, a 26 cent. szerokie, materya wzięta jest podwójnie. Rondko kapotki pokryte aksamitem i naszyte torsadką słomkową z grelotka-



N. 6. Teka na pisma peryodyczne. Malowanie na drzewie; deseń patrz fig. 36a i 36b.

mi, 2 cent. szeroką. Takaż torsadka otacza główkę; dwa bukieciki pierwiosnków przypięte z boku ku twarzy.

N. 33. Haft koronkowy „broderie Duchesse".

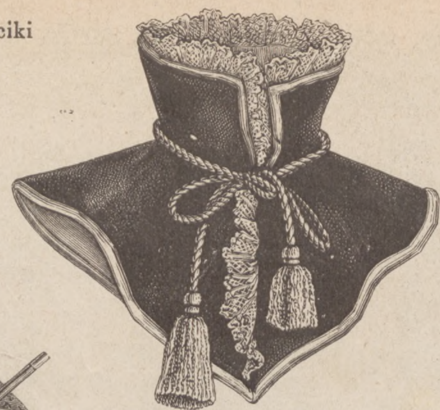
Odrobiony na białej lub żółtawej materyi surah, jedwabiem tegoż koloru; ten haft o wiele jest efektowniejszy jeżeli użyjemy jedwabiów kolorowych, a do otoczenia konturów deseniu sznureczka złotego. Haft zwany „broderie Duchesse" służyć może do przybrania sukien, chusteczek, krawatek i t. p.

N. 34. Fartuszek z gorsecikowym stanikiem. Krój i deseń na arkuszu N. XVII, Fig. 71-73.

Odznacza się formą nader praktyczną, ponieważ osłania suknię naokoło; fig. 72 daje w naturalnej wielkości krój gorsecikowego stanika, a fartuszek dopasować można podług maleńkiego formatu kroju fig. 71. Stanik z fartuszkiem złączony jest paskiem prostym, 2 cent. szerokim; końce związujące fartuszek z tyłu liczą po 48 cent. długości a $4\frac{1}{2}$ szerokości. Model który opisujemy był z szarego płótna, ozdobiony granatowemi pliskami po 2 c. szerokiemi, z ponsowemi wypustkami; u góry przy staniczku dane plisowanie granatowe 2 cent. szerokie, u dołu fartuszka falbana 8 cent. szeroka, ozdobiona kolorowym maszynowym haftem, którego deseń załącza fig. 73 na arkuszu z krojami.

N. 35—36. Fartuszek z plastronem i kołnierzem. Krój na arkuszu N. XVI Fig. 68—70.

Fartuszek z bawetowym plastronem i kołnierzem marynarskim może być biały lub kolorowy; strojne przybranie składa się z pasów haftu, wyszycia krzyżykowego lub wszywki szydełkowej, z koronki 3 cent. szerokiej i falbanki. Rycina 36 załącza deseń szlaczku ściegiem luźnym, który wyszyć można dwoma kolorami. Fig 68 daje miary fartuszka złożonego z trzech brytów, zakończonego u dołu falbaną 7 cent. szeroką; brzeg górny wszyty w pasek 2 cent. szeroki, 32 długi, do którego przyczepione końce po 68 cent. długie, $6\frac{1}{2}$ szerokie. Plastron szyje się podług fig. 69, kołnierz podług fig. 70; wykrój szyi w kołnierzu objęty skośną listewką 1 cent. szeroką. Jeden koniec kołnierza zszywa się z plastronem od 11—12, z lewej strony pod kokardą, a drugi z prawego boku zapina na haftki. Plastron w odstępie 11 cent. od góry przyszywa się do paska, a bawet u dołu przyczepia niewidocznie do fartuszka.



N. 15. Kołnierz chusteczkowy.



N. 13. Fason kapelusza z ażurowej słomki.

N. 7.—8. Modne parasoliki.



N. 16. Paletot dla chłopca.



N. 22—23. Suknia z vêtement z bawetowym paskiem. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 39—43a.



N. 31. Kapelusz okrągły słomkowy.



N. 26. Sukieneczka dla dziecka lat 1-3. Krój na arkuszu N. VI Fig. 31 i 32. Patrz ryc. 2 w N. 18.



N. 19. Paletocik z pelerynką. Patrz ryc. 17-18. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 44—49.

N. 20—21. Sukieneczka ze stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 16-23.



N. 11—12. Modne parasoliki.



N. 28. Paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 3—6. Krój na arkuszu N. V fig. 24-30a. Patrz r. 27.

N. 29. Suknia z draperyą spuszczoną na kształt szarfy. Krój na arkuszu N. XIV, Fig. 62—62a

N. 30. Suknia z tuniką à panier.



N. 17. Paletocik z kapturkiem, dla panienki lat 9—12. patrz ryc. 18-19. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 44—50.



N. 18. Pelerynka do paletocika ryc. 17. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 48.



N. 14. Fason kapelusza z angielskiej słomki.

N. 37. Żabot ze złotą koronką.

Na żabot przedstawiony na rycinie 37 potrzeba skośnego kawałka materyi surah 32 cent. szerokiego a 23 długiego, złożonego na kokardę z końcami i w środku kilkakrotnie przemarszczonego, do 4 cent. szerokości. Brzegi materyi oszyte gładko grubą złotą koronką, 3 c. szeroką.



N. 9—10. Modne parasoliki.

N. 38. Kokarda z haftem Duchesse.

Potrzeba na nią 120 cent. białej atłasowej wstążki 4 c. szerokiej, z której ułożone cztery pukle po 12 i po 10 cen. długie. W jednej połowie kokardy górne brzegi, drugiej dolne brzegi wstążki oszyte są haftem duchesse przedstawionym na ryc. 33; w środku węzeł i koniec 11 cent. długi.

N. 39—45. Szkatułka z przyborami do wypalania serwaserem i kilka sztuk roboty wykończonej. Deseń do ryc. 41. patrz Fig. 35a i 35b na arkuszu z krojami.

W prostej drewnianej szkatułce przedstawionej na rycinie 39, pomieszczone są nietylko wszystkie przybory do wypalania serwaserem, jako to: (woda rtęciowa) serwaser, wosk, terpentyna, bibuła, ołówki, pióro do kopiowania, desenie, rozmaite pendzelki, lejek szklanny i parę małych talerzyków cynowych, na których wykonywają się pierwsze próby tej roboty. Jeden talerzyk przedstawia robotę już rozpoczętą, jak to widzimy na ryc. 40, gdzie część deseniu jest już narysowana, a drugą widzimy na papierze dopiero przyklejonym lekko z brzegów woskiem aby deseń nie usunął się przy kalkowaniu. Szczegółowy opis roboty podawaliśmy już niejednokrotnie w Tygodniku Mód w przeszłym roku, odsyłamy więc czytelniczki do dawniejszych Numerów.



N. 24—25. Suknia z vêtement z krótkim paskiem. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 33.

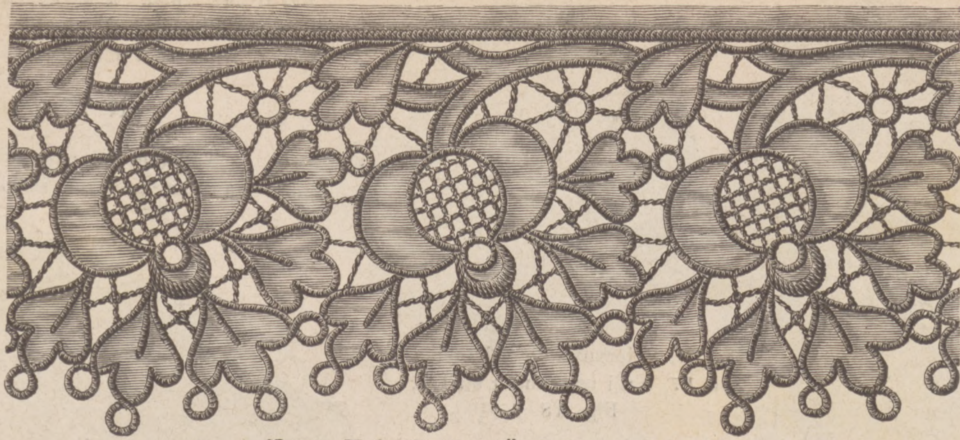


N. 27. Paletocik z pelerynką. Patrz ryc. 28. Krój na arkuszu N. V, Fig. 24—30a.

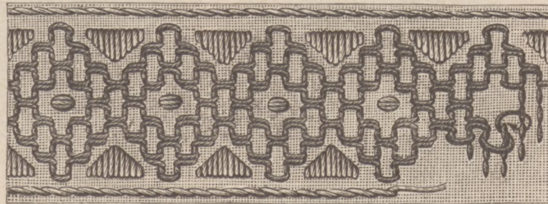


N. 32. Kapotka jedwabna.





N. 33. Haft „Duchesse". Patrz ryc. 38.



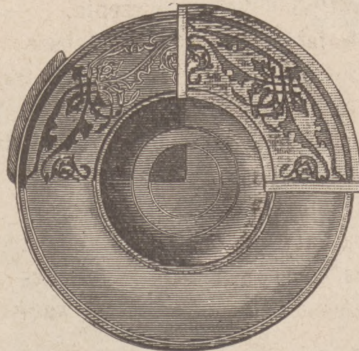
N. 36. Szlaczek do ryc. 35.

N. 34. Fartuszek z gorsecikowym stanikiem Krój na arkuszu N. XVII, fig. 71—73.



N. 35. Fartuszek z plastronem i kołnierzem Krój na arkuszu N. XVI, fig. 68—70.







N. 40. Talerzyk z deseniem wypalonym serwaserem.

N. 41. Kubek. Deseń wypalony serwaserem. Patrz fig. 35a i 35b.

N. 42. Czarka. Wypalanie serwaserem.



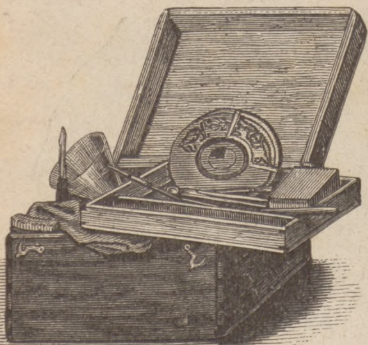




N. 37. Kokarda ze złotą koronką.

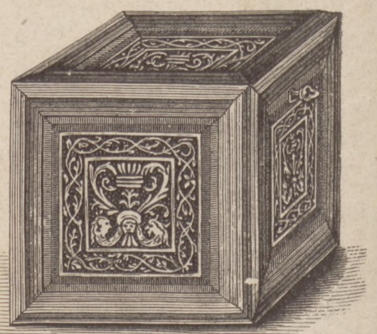
N. 43. Przykrycie do talerza. Wypalanie serwaserem.

N. 38. Kokarda z haftem duchesse. Patrz ryc. 33.



N. 39. Szkatułka z przyborami do wypalania serwaserem. Patrz ryc. 40—45.





N. 44. Szkatułka do cygar. Patrz ryc. 45.

N. 45. Deseń na wypalanie serwaserem do ryc. 44.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 18 i 19.

N. I. Paletocik wcinany. Ryciny 39 — 40 w N-rze 18.
Miara objętości przez połowę: 49 cent. w gorsie, 60 w biodrach.

Fig. 1. Kamizelka z baskiną (D, N, O, *, :) 1 założenie.
Fig. 2. Połowa przodów (A, B, F, G, H, *, :) 1 założenie.
Fig. 3. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 4. Drugi boczek (C, D, E)
Fig. 5. Połowa pleców (E, F, G, M)
Fig. 6. Rękaw (H, I, K, L)
Fig. 7. Wykład na rękawie (I, L, +)

Fig. 1a–9a

Fig. 8. Połowa kołnierza (M, N)
Fig. 9. Wykład na kieszeni (D, O)

Fig. 1 a—9 a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1 — 9.

N. II. Dwa okrycia z szerokiemi rękawami. Ryc 36 — 37 i 41 w N-rze 18.

Fig. 10. Przód (P, Q, R, T, W) 1 założenie
Fig. 11. Połowa pleców wraz z rękawem (forma przecięta dla braku miejsca).

Fig. 10a–12a

Fig. 11 A. Część górna (P, Q R, S, V, *, :, +)
Fig. 11 B. Część dolna (R, S, T, U, *, :)
Fig. 12. Połowa paska do kołnierza (V, W)
Fig. 10 a — 12 a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 10 — 12 z oznaczeniem linją zmiany w kroju do okrycia ryc. 36.
Fig. 13 a. Deseń wyszycia na tle.
Fig. 13 b. Zmniejszony deseń wyszycia Fig. 13 a.
Fig. 13 c. Deseń na narożnik w szlaku.

N. III. Okrycie z kapturkiem. Rycina 38 w N-rze 18.

Fig. 14. Wskazanie kroju połowy okrycia (podług kroju N-r III na arkuszu do N-ru 1 Tyg. Mód) a) przód (+, ·) b) połowa pleców (+, *) c) spodnia połowa rękawa (+. ·, *)
Fig. 15. Kapturek (X, Y, Z, ·) 1 założenie.

N. IV. Stanik z baskiną dla panienki lat 8 — 10. Ryc. 20 — 21 w N-rze 18.

Fig. 16. Połowa plastronu (a, b, *) 1 założenie
Fig. 17. Połowa przodu (a, b, c, d, h, i, k)
Fig. 18. Boczek (c, d, e, f, g, × 1 i · 1)
Fig. 19. Połowa pleców (e, f, g, h, i, :)
Fig. 20. Rękaw (k, l, m, n)
Fig. 21. Połowa wykładu do rękawa (n, +, ·)
Fig. 22. Połowa patki (+, ·)
Fig. 23. Połowa kołnierzyka (*, :)

N. V. Paletot z pelerynką dla dziewczynki lat 3 — 6. Rycina 27 — 28 w N-rze 19.

Fig. 24. Przód (o, r, s, t, z, *, :)
Fig. 25. Połowa pleców (o, p, q, r, s)
Fig. 26. Rękaw (t, u, v, w)
Fig. 27. Wykład do rękawa (u, w, +, ·)
Fig. 28. Połowa pelerynki (p, x, y, z)
Fig. 29. Połowa kołnierza (p, z)
Fig. 30. Klapka do kieszeni (*, :)
Fig. 24 a — 30 a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig 24 — 30.

Fig. 24a – 30a.

N. VI. Sukieneczka z karczkiem dla dziecka lat 1 — 3. Rycina 2 w N-rze 18 i ryc. 26 w N-rze 19.

Fig. 31. Połowa przodu (1, 2, 3, 4, 5, 6, *, +, ·)
Fig. 32. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 7, 8, *, :)

N. VII. Vêtement z krótkim paskiem, ryc. 24 — 25 w N-rze 19.

Fig. 33. Wskazanie kroju połowy vêtement podług kroju N-r VIII.

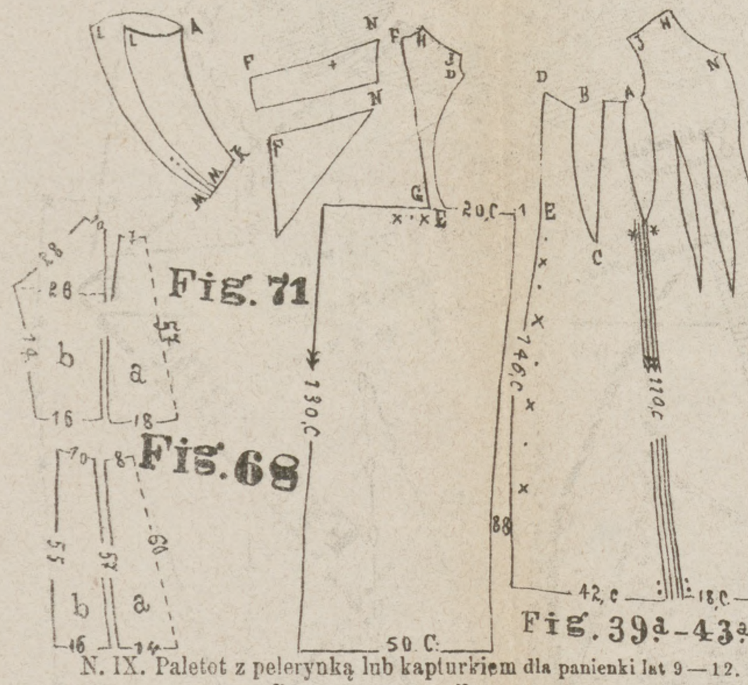
Desenie.

Fig. 34. Narożnik do taboretu ryc. 4 i 5 w N-rze 18.
Fig. 35 a. Czwarta część ściany bocznej } do ryc. 41 w N-rze 19.
Fig. 35 b. Czwarta część przykrycia } do ryc. 41 w N-rze 19.
Fig. 36 a. Część szlaku } do ryc. 6. w N-rze 19.
Fig. 36 b. Czwarta część rozety narożnej } do ryc. 6. w N-rze 19.
Fig. 37. Gałązka } do ryc. 5 w N-rze 16.
Fig. 38. Wązka koronka } do ryc. 5 w N-rze 16.

N. VIII. Vêtement z bawetowym paskiem. Rycina 22 — 23 w N-rze 19.

Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 33 w pasie.

Fig. 39. Przód wraz z pierwszym i drugim boczkiem (forma przecięta).
Fig. 39 A. Przód (A. H, I, N, *)
Fig. 39 B. Boczki (A. B, C, D, E, *)
Fig. 40. Połowa pleców (D, E, F, G, H, I, × 1 i · 1 do × 3 i · 3)
Fig. 41. Rękaw (A, K, L, M, :)
Fig. 42. Połowa spodnia kołnierza (F, N, ·)
Fig. 43. Połowa zwierzchnia kołnierza (F, N, +) × · × · ×
Fig. 39 a — 43 a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 39 — 43.



N. IX. Paletot z pelerynką lub kapturkiem dla panienki lat 9 — 12. Ryc. 17 — 19 w N-rze 19.

Fig. 44. Przód (O, S, T, U, Z)
Fig. 45. Boczek (O, P, Q, R, × 4)
Fig. 46. Połowa pleców (P, Q, R, S, T, · 4)
Fig. 47. Rękaw (U, V, W, X)
Fig. 48. Połowa peleryny (Y, Z, +, × 5 i · 5 do × 8 i · 8)
Fig. 49. Połowa szalowego kołnierza (Z, +)
Fig. 50. Połowa kapturka (*, :, × 9 i · 9)

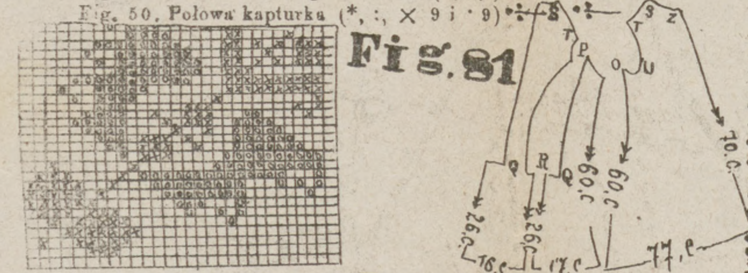


Fig. 44 a — 46 a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 44 — 46.

N. X. Paletot z krótką pelerynką. Ryc. 21 — 22 w N-rze 18.

Fig. 51. Przód (a, b, c, h, i, k, q)
Fig. 52. Boczek, a, b, c, d) + + + +
Fig. 53. Część dopełniająca przody i boczki (c, d, r, s, *) • • • •
Fig. 54. Połowa pleców (d, e, f, g, h, i, *, :)
Fig. 55. Rękaw z klapką (k, l, m, n, +, ·)
Fig. 56. Przód pelerynki (o, p, q)

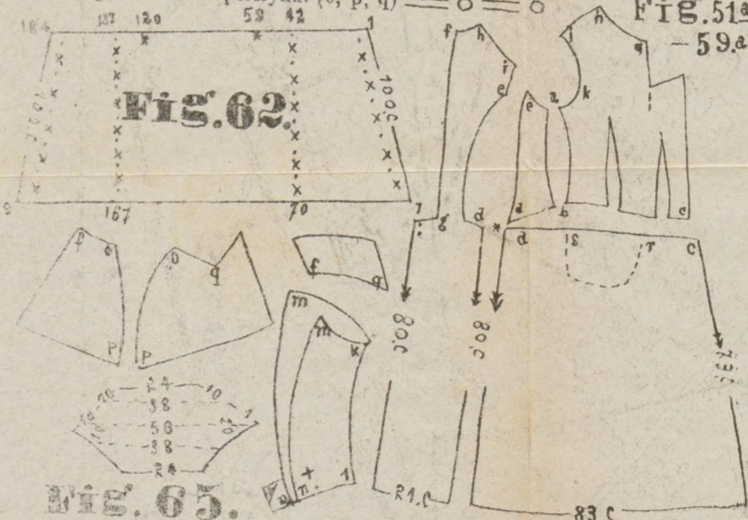


Fig. 57. Plecy pelerynki (f, o, p)
Fig. 58. Połowa kołnierzyka (f, q)
Fig. 59. Wykład do kieszonki (r, s) O O O O
Fig. 51 a — 59 a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 51 — 59.

N. XI. Płaszczyk z beduinową pelerynką. Rycina 19 — 20 w N-rze 18.

Fig. 60. Wskazanie kroju połowy płaszczyka.
Fig. 61. Pelerynka (forma przecięta)
Fig. 61 A. Górna część (t, u, v, w, x, +, ·, *, :)
Fig. 61 B. Dolna część (y, *, :) 1 założenie = × = ×
Fig. 61 a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 61 A, 61 B i Fig. 60.

N. XII. Tunika do sukni, ryc. 29 w N-rze 19.

Fig. 62. Wskazanie kroju draperyi.
Fig. 62 a. Całość tuniki.

N. XIII. Rękaw chatelaine. Rycina 17 w N-rze 18.

Fig. 63. Zwierzchnia połowa rękawa (1, 2, 3, 4)
Fig. 64. Spodnia połowa rękawa (1, 2, 3, 4) * * *

N. XIV. Woreczek do rękawiczek, ryc. 35 w N-rze 18.

Fig. 65. Wskazanie kroju woreczka.

N. XV. Fartuszek z kołnierzykiem. Rycina 5 — 6.

Fig. 66. Połowa przodu i pleców (5, 6, 7, 8, 9)
Fig. 67. Połowa kołnierza (7, 9, 10)



N. XVI. Fartuszek z plastronem i kołnierzem. Ryc. 35. w N. 19.

Fig. 68. Wskazanie kroju połowy fartuszka.
Fig. 69. Połowa plastronu (11, 12)
Fig. 70. Połowa marynarskiego kołnierza (11, 12)

N. XVII. Fartuszek ze staniczkiem. Ryc. 34 w N rze 19.

Fig. 71. Wskazanie kroju połowy fartuszka.
Fig. 72. Staniczek (13)
Fig. 73. Deseń do wyszycia.

Desenie.

Fig. 74. Część szlaku z narożnikiem
Fig. 75. Ósma część środkowego deseniu } do ryc. 1 w N-rze 19.
Fig. 76. Część deseniu dzielącego figury
Fig. 77 — 80. Różne figury } do ryc. 27 w N-rze 18.
Fig. 81. Czwarta część kwadratu i szlaku do ryc. 39 w N-rze 16.